

# nadodrże

PL ISSN 0165-7007 Nr indeksu 36 650

ZIELONA GÓRA

4 — 17 IX 1988 R.

ROK XXXII NR 18 [675]

CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

**Krzyżówka Lubuska**  
nagrody wartości  
**250 000 zł**

W KAŻDYM KIOSKU "RUCHU" W GÓRSKIM I ZIELONOGÓRSKIM

cena 80 zł

Zielona Góra  
czerwiec-wrzesień  
1988 rok



**KAD I BEZWŁAD** Opowieści  
**MASONERIA BEZ TAJEMNIC** Ostatniego  
**SCENY** dorożkarza  
**CIEMNE REWIRY**  
*mitosne*

## JAK W ZGRANYM CHÓRZE

Edward J. Mincer

Jeśli człowiek tłucze się pociągami blisko 8 godzin do Wrocławia i z powrotem po to tylko, aby wziąć udział w kilkunastominutowym występie chóru — można go śmiało uznać za pasjonata. Jeżeli zaś jego syn gra na gitarze, jedna córka na skrzypcach, a druga na fortepianie i wiolonczeli — to oznacza, że swą pasją potrafi zarazić najbliższe otoczenie.

Nie wiem, czy to właśnie przyswili-  
cało żarskim rzemieślnikom, kiedy w  
1981 roku powierzyli funkcję dyrektora  
swojej spółdzielni dotychczasowemu  
głównemu mechanikowi Zakładów Prze-  
mysłu Odzieżowego inż. Zenonowi Hel-  
wingowi. Pewnie jest jednak, że była  
to decyzja ze wszech miar dla nich ko-  
rzystna.

Spółdzielnia była wtedy w wyraź-  
nym „dolku”. Jej saldo zamykało się  
półmilionowym niedoborem, spowodowa-  
nym przetrąconą sprawą arbitrażową.  
Poniekąd twierdził nawet, że dojdzie  
do powtórzenia sytuacji z 1952 ro-  
ku. Wtedy to właśnie, po niespełna pię-  
cioletniej działalności, zlikwidowana zo-  
stała pierwsza w Żarach spółdzielnia  
rzemieślnicza. Część byłych jej człon-  
ków przełamując w sobie lokalny pa-  
tryotyzm, przeniosła się do spółdzielni  
w Zaganiu.

Dzisiaj ówczesni pesymiści mają się  
z pyszną. Wystarczy porównać podsta-  
wowe wskaźniki. W 1981 roku — nie-  
spełna 70 członków, 44 mln złotych ob-  
rotu, w roku 1988 — dwustu człon-  
ków, planowany obrót ponad 2,5 mld.  
Przy tym ilość wyraźnie przeszła, w  
jakość, żarska spółdzielnia znalazła się  
„w szpicy” jednostek, zrzeszonych w  
lubuskiej Izbie Rzemieślniczej.

Nie można tu rzecz jasna pominąć  
faktu, że zatrudnienie nowego dyrek-  
tora, zbiegło się w czasie z zapaleniem  
dla rzemiosła kolejnego „zielonego  
światła”, które tym razem okazało się  
nie tylko koniunkturalnym posunię-  
ciem władz. Mimo takich czy innych  
wyrzekań, trudności materiałowych  
czy problemów z fiskusem, każdy przy-  
znać musi szczerze, że chyba nigdy je-  
szcze w ponad 40-letniej historii PL  
akcje prywatnej inicjatywy nie stały  
tak wysoko.

Leosze czasy zawodziły zmianą  
mentalności starych członków spółdziel-  
ni, większym ich otwarciem na nowo-  
czesność, większą skłonnością do po-  
dejmuwania ryzyka, które przecież naj-  
częściej okazywało się opłacalnym.  
Społeczność rzemieślnicza powiększyła  
się też w znacznym stopniu o ludzi mło-

dych, z wysokim przygotowaniem za-  
wodowym, ze sporymi ambicjami, z  
ciekawymi pomysłami.

Samorząd jednostki odczuł wyraźnie  
że i od niego zależy, w jaki sposób  
funkcjonować będzie spółdzielnia. Od-  
czuł, że jego kompetencje i uprawnie-  
nia nie są tylko „papierowymi”.

Okazało się, że — używając dyrek-  
torskiego porównania — razem

### STANOWIĄ ZGRANY CHÓR

w którym prawie każdy z chórzystów  
jest jakąś tam indywidualnością.

Spółeczny prezes Zarządu malarz  
Stefan Słencel specjalizuje się między  
innymi w renowacji żarskich i zagani-  
skich zabytków.

Członek Zarządu Stanisław Opala  
dała dobry przykład, w jaki sposób za-  
kład rzemieślniczy przystosować się mo-  
że szybko do zmieniającego zapotrzebowa-  
nia rynku. W iście ekspresowym tem-  
pie przestawiła się z produkcji szkieł  
oryginalnych i kryształów na szkło użyt-  
kowe, eksportowane m.in. do NRD.  
Bogumił Smigielski, opisany tak sym-  
patycznie w „Magazynie Lubuskim” ja-  
ko „dzieci z Biecha”, zapoczątkował  
eksport do II obszaru płatniczego, sprze-  
dając Szwedom debowe fryzry.

Inż. Mirosław Stepa (typowy repre-  
zentant młodego, ofensywnego pokole-  
nia) w krótkim czasie stał się krajo-  
wym potentatem w produkcji hartowa-  
nych szyb do piekarników kuchennych  
gazowych i elektrycznych.

Tadeusz Danciewicz i Stefan Dro-  
biak współpracując z zakładami Cegiels-  
kiego w zakresie obróbki metalowej u-  
dowodnili, że kooperacja rzemiosła z  
wielkim przemysłem może być wielce  
opłacalna dla obu partnerów.

Olbrzymim wzięciem nie tylko na  
miejscowym rynku cieszą się piece cen-  
tralnego ogrzewania, wytwarzane przez  
Mirosława Bienkowskiego. Wiesława



ciąg dalszy na str. 4

Zielona Góra — fragment miasta.

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ



# Opinie i refleksje

## Niewypowiedziana wojna

Minęły cztery miesiące od wejścia w życie porozumienia w sprawie politycznego uregulowania sytuacji wokół i w samym Afganistanie. Dokumenty podpisane w Genewie w kwietniu br. przez min. spraw zagranicznych ARD, Pakistanu, USA i ZSRR nadal stanowią jednak tylko szansę uregulowania jednego z najbardziej skomplikowanych i bolesnych konfliktów regionalnych. Dlaczego tak się dzieje?

Korzenie współczesnych konfliktów wstrząsających tym gorzszym, cywilizacyjnie późnym, plemiennym, nade wszystko muzułmańskim krajem sięgają w jego historię, przynajmniej do lat czterdziestych naszego wieku ówczesny monarcha afgański Amanullah podjął nieśmiało próby reform, został jednak pokonany przez dyktatorów z życia tego kraju mullahów, zwłaszcza wiejskich, przeciwnych wszelkim zmianom. Tu niezbędne jest wyjaśnienie: islamski mullah — przez urodzenie lub małżeństwo, staje się zwykłym członkiem tutejszej elity, tzn. posiadaczem ziemi, nauczycielem, lekarzem. Do dziś mullahowie stanowią fundament fundamentalizmu afgańskiego, strzegącego dwu potężnych systemów: prawa islamu oraz kodeksu Pusztunów. Stanowią oni w większości podporę trwającego tu, przy wsparciu z zewnątrz, głównie z Pakistanu, krwawego konfliktu.

Mimo wszystko jednak, już od dłuższego czasu w Afganistanie umacniały się siły dostrzegające potrzebę zmian. W 1973 r. obalona została feudalna monarchia — król Zahir Szach. Przewrót dokonał b. premier i kuzyn króla, książę S. Daud. Uważany był on za rzecznika rodujacej się tutaj burżuazji i zwolennika przyjaznych stosunków z ZSRR, co było tradycją polityki zagranicznej Afganistanu od czasu jego wyzolenia się w 1919 r. spod dominacji brytyjskiej. Z tego m.in. powodu w przewrocie dopomógł mu powstała w 1965 r. Ludowo-Demokratyczna Partia Afganistanu. Daud nie chciał jednak dać jej idących reform, był np. przeciwny tak potrzebnej tu reformie rolnej, wszedł w konflikt z afgańską lewicą. W tych warunkach w kwietniu 1978 r. w Afganistanie wybuchła rewolucja kierowana przez LDPA. Miała ona mieć ograniczony, ludowo-demokratyczny charakter. I tu tkwi początek współczesnego afgańskiego dramatu. Po stosunkowo łatwym obaleniu Dauda w LDPA górze wzięło lewicowe i awanturnicze skrzydło, które postanowiło w ciągu 3—5 lat stworzyć w Afganistanie podstawię socjalizmu. W tym czasie sekretarzem generalnym KPZR był Leonid Breżniew. Nie chciano pamiętać, że Afganistan należy do najsłabszej rozwiniętych krajów świata, znaczna część jego ludności żyje pod wpływami mentalności plemiennych i ortodoksyjnego islamu.

Lewacy utrzymali się przy władzy niespełna pół roku. Jednakże poczynili szereg trudnych odwracalnych szkód. Jak wszędzie hurra rewolucyjnymi decyzjami, balaganem administracyjno-gospodarczym, nie liczeniem się ze zwyczajami ludności i brutalnymi represjami wobec tzw. wrogów ludu zrazili do wia dzy ludowej wielu ludzi. Do opozycji przeszli nie tylko feudalowie i kapitaliści, monarchiści i poddańscy republikańscy, bogaci szlachetnie plemięni i zamożni mullahowie, lecz również wielu chłopów, rzemieślników i inteligentów. Spora część ludzi, którzy uciekli do Pakistanu, została przygarnięta przez organizatorów nie wypowiedzianej wojny z tzw. „peszawarskiej siódemki” i z bronią w ręku wysłana z powrotem do ARD.

Naprawianie błędów i umacnianie rewolucji odbywało się z konieczności w warunkach zacietliwej walki z wspieraną z zewnątrz kontrolującą. W walce tej zginęły już setki tysięcy ludzi. W grudniu 1979 r. z pomocą młodej republiki w odparciu agresji przyszedł ZSRR. W styczniu 1987 r. afgańska Rada Rewolucyjna, dążąc do osiągnięcia narodowego konsensusu, ogłosiła jednostronne przerwanie ognia. Obecnie LDPA nie rezygnując ze swego demokratycznego programu, odwołując się w imię ogólnonarodowych interesów do opozycji proponuje podział władzy i koalicyjne rządy. Jest to jeden z warunków osiągnięcia w Genewie porozumienia. Na mocy tego porozumienia ZSRR, jako jeden z jego sygnatariuszy — do połowy sierpnia br. wycofał z Afganistanu już połowę swych wojsk. A jednak wojna toczy się nadal. Pakistan nasila ingerencję w wewnętrzne sprawy ARD. Czyżby więc porozumienie genewskie w sprawie Afganistanu miały okazać się swistkiem papieru, a dramat afgański trwać nadal?

STANISŁAW DERESZ

Z prasy radzieckiej

## Powrót partii do źródeł etyki

Na łamach pisma „Komunist” o konieczności powrotu partii do źródeł etyki pisze znany radziecki dramaturg i scenarzysta, Aleksander Geiman. Artykuł publikujemy z niewielkimi skrótami.

Jesteśmy świadkami narastającego zaniepokojenia społeczeństwa etycznym aspektem działalności naszej partii. Rachunek za moralność wystawia się dziś zarówno historycznej przeszłości jak teraźniejszej polityce partii. To zaniepokojenie emanuje przede wszystkim od dołu, od mas partyjnych, od narodu. Jest ono uzasadnione, stosowne, jak najbardziej na czasie.

Partia a etyka, polityka partii, zwłaszcza po śmierci Lenina, a etyka — to historyczna kolizja, pełna dramatyzmu, bólu, rozpacz. To temat, który wymaga przestudiowania, analizy, zbadania. Trzeba się w tym zorientować w sposób wyczerpujący, do końca.

Od czego zaczęła się partia? Nie od tego, że jej założyciele pewnego razu przeczytali Marksę. Partia zaczęła się od ludzkiego oburzenia na ciężką sytuację klas pracujących, większości narodu, od współczucia i litości dla poniżanych i znieważanych. Partia wyrósł z humanitarnych dążeń, one stanowią jej ogólnoludzkie, życiodajne korzenie. Powstała jako siła moralna, duchowa. Można powiedzieć, że moralne wymagania, etyczna konstytucja ludzkości weszły do programu politycznego partii jako rdzenna ośniewa jego treści, jako podstawa jego ludowości.

Jednakże po śmierci Lenina stało się nieszczęście: krok za krokiem partia, a zwłaszcza jej kierownictwo, odchodziła od ogólnoludzkich wartości, od pierwotnych korzeni partii. Przede wszystkim i najsilniej wyrażało się to w narastającym lekceważeniu demokracji, jako formy organizacji życia społecznego. Jak mi się wydaje, nastąpiło to wskutek absolutyzowania, uniwersalizacji ściśle klasowego podejścia do rzeczywistości. Zapomniano, że przemiany w treści klasowej społeczeństwa i zniknięcie klas wyzyskiwanych nie usuwają uniwersalnych sprzeczności, nie odmieniają natury człowieka, jego psychiki, nie eliminują indywidualne go i grupowego egoizmu, słowem tego, co na własny użytek nazwałem obiektywnymi prawami subiektywności. A przecież to właśnie wymogi tych praw, praw odwiecznych, odkrywanych przez wiele pokoleń humanistów, a w Rosji badanych z niebywałą wnikliwością przez Dostojewskiego, Tolstoję, Cechowa, już w starożytnej Grecji stały się źródłem narodzin idei demokracji, jako formy najrozsądniejszego zorganizowania życia społecznego. Demokracja jako filozofia rządzenia brała pod uwagę tę nieusuwalną okoliczność, że człowiek z samej natury jest zdolny czynić zarówno dobro jak zło. Idea demokracji uwzględniała fakt, że każdy człowiek jest równocześnie i cząstką zbiorowego ciała narodu, istotą jedną z wielu, i zarazem istotą odrębną, suwerenną, niepowtarzalną, jedną w swoim rodzaju.

Październik stwarzał jak najrozsądniejszą możliwość demokratycznych przeobrażeń, jednakże możliwości te w znacznej mierze nie zostały wykorzystane przez partię, jako przewodnią siłę społeczeństwa. Zarówno w teorii jak w praktyce pokładano nieuzasadnione nadzieje w tym, że sam fakt uspołecznienia ziem i fabryk automatycznie zapewni rozwój gospodarczy i duchowy. Nie zauważono, że bez demokratycznego rządzenia własność stała się w gruncie rzeczy nie społeczna, a niczyja. (...) Zadaniem najważniejszych dla wszelkiej rangi kierowników nie stało się bynajmniej zapewnienie efektywności produkcji, lecz wysługiwanie się. Aparat zarządzania pracował głównie „dla siebie”, aby sobie ułatwić i uprościć życie. Niemal każdy mógł być kierownikiem, a do sztabów zarządzania szeroką falą napływała miera nota. (...)

Przez całą naszą historię raz za razem wyrzucano ludzi poza nawias. Najpierw szli na ziom wrogowie klasowi, krewni wrogów klasowych, w tym także dalecy krewni: potem przyszła kolej na różnego rodzaju odchyleńców, tych, którzy myśleli inaczej, którzy zostali wzięci do nie woli. Doszło do tego, że jako wybrakowanych odrzućano ludzi za nietypową długość włosów, nietypową szerokość spodni, a zupełnie niedawno — za tyk alkoholi. Poszczególnym cechom osobowości, szczegółom życia, pojedynczym, incydentalnym przejawom nadawano totalne znaczenie. Było to prymitywne. Ignorancie spojrzeć na człowieka, ciężki krzyż upraszczania natury ludzkiej, ludzkiego ducha. Była to ideologia miernoty, która

dorwała się do władzy i oceniała, klasyfikowała wszystkich według własnej miary. Poza nawias wyrzućano dziesiątki, setki tysięcy ludzi.

Zdradliwą rolę spełniała wydumana i zadufana w sobie teoria o szczególnej etyce partyjnej, kiedy to partia stawiana była niemal na równi z jakimś zamkniętym bractwem kawalerów mieczowych. I znów zapomniano, że kondycja etyczna człowieczeństwa jest uniwersalna, jedna dla wszystkich, że stworzyła ją przebiegiść myśli humanistycznej w całym ciągu historii narodów. Nie było i nie ma żadnej potrzeby tworzenia własnego, odrębnego kodeksu etycznego. Na tym polu socjalizm może i powinien nie tyle tworzyć własne kodeksy, ile ujawniać swoje kolosalne praktyczne możliwości optymalnego kierowania się ogólnoludzkim dorobkiem. Na tym właśnie polega — a to wcale nie mało, lecz bardzo wiele — dia metralna różnica między treścią etyczną socjalizmu i kapitalizmu: o klasowej odmienności decyduje tu skala możliwości i warunków realizowania ogólnoludzkich ideałów moralnych.

Stalinizacja wypaczyła etyczne źródła partii, oddzieliła od siebie politykę i moralność, rozgraniczyła je, zniszczyła ich jedność. W czasach zastójności pętiły się bujne kłamstwo, obłuda, bezczynny pragmatyzm ugrupowań typu mafijnego. Po śmierci Stalina partia podjęła próbę oczyszczenia, powrotu do etycznych źródeł. Nie udało się doprowadzić tej sprawy do końca. Przed trzema laty zapoczątkowany został nowy potężny zryw w kierunku samoczyszczenia — zaczęła się przebudowa. Zrobiono dużo, ale siły hamujące są ogromne, narastają i zapewne jeszcze będą narastać (...)

Jak się wydaje, partia odważyła się na ważne wolne od pospłachu i dokładnie przyjrzenie się samej sobie. Czy wystarczy, cierpliwości i wytrwałości, aby spojrzeć w lustro aż do dna, aby uzyskać całkowitą jasność? Jest jeden moment, pod wieloma względami decydujący. Gdy tylko zaczynamy analizować naszą partyjną historię, ogarnia nas zmieszanie, tyle bowiem wychodzi na jaw błędów, bezprawia, przestępstw. Ogarnia nas lęk, że konsekwentna, obiektywna analiza dziejów partii nie pozostawi ani jednego jasnego miejsca: sama tylko czerni, a w najlepszym przypadku szarości. Wówczas zaczynamy szukać wyjścia tam, gdzie go nie ma i być nie może: rzucamy oskarżenia i szkalowanie, lakie rujemy mankamenty, które niby to jeszcze dają się jakoś zaklamerować, charakterystyczny Stalin jako postać wyłączonej pełną sprzeczności i koniec końców niemal otwarcie mówimy, że przecież są rzeczy ważniejsze niż prawda.

Tymczasem zaś sytuacja — jak mi się wydaje — wcale nie jest bez wyjścia. Nie ma potrzeby młotać się i denerwować. Trzeba po prostu normalnie spojrzeć nie, bez uprzedzeń spojrzeć na złożoną, dramatyczną, niepowtarzalną jedną w swoim rodzaju historię naszej partii. Trzeba wreszcie zrozumieć i przyznać, że partia ma naprawdę jedną, ale po śmierci Lenina jej historia rozwija się, nie biegnie po jednej linii, lecz ma dwie linie rozwoju, które splatają się wprawdzie, ale nie jednolicie i można je rozróżnić. Trzeba dostrzec, że obok stalinizmu — tego odstępstwa od leninowskich zasad etycznych istniała w partii zawsze, przez wszystkie lata, także linia wierna Leninowi, wierna szlachetności ludzkiego ducha.

Nie chodzi tu wyłącznie o jednostkowe przypadki, o poszczególne męzne jednostki, sporadyczne humanistyczne epizody. Chodzi właśnie o linię historyczną — o etyczną linię w dziejach naszej partii. My po prostu stało lub prawie wcale nie znamy tych bohaterów, a przecież byli to dziesiątki, setki, tysiące ludzi, szerokie spektrum etycznych wystąpień członków partii. Przypadki popełniania samobójstwa, jako skrajna forma odrzucenia stalinizmu. Bezpośrednie, niezmieszane upiśkane manifestowanie swojej leninowskiej postawy, w warunkach gdy mogło to kosztować życie. Można obrona bezpodstawnie oskarżonych, przypadki zbiorowej niesubordynacji przed których siłą nawet Stalin niekiedy się cofał. Ostrzeżenie o niebezpieczeństwie, aby człowiek zdążył się ukryć, uratować. Moralne wsparcie w stalinowskich kazamatach, umiśnianie nadziei, wiary w odrodzenie zdeptanych ideałów, wiary w to, że masowe represje nie są prawdziwą socjalizmem, lecz tragicznym odstępstwem od jego celów. Niesłyszane wyrażenie wewnętrznej siły, nawet trudno pojąć skąd brały, aby mimo wszystko pilnie pracować, odmówić zwycięstwa nad faszystowskim okupantem, przyczynić się do umocnienia pierwszego na świecie państwa socjalizmu, któremu jak w to wierzyli uczciwi komuniści — sądzona jest przyszłość nie tylko stalinowska, lecz inna, szlachetna, prawdziwie ludzka.

Tak więc nie sama tylko czerni i po to, aby nie stwarzać takiego wrażenia, wcale nie trzeba przeznaczać przemalowywać i ukrywać najpotworniejszych nawet faktów. Duchowy etyczny ładunek z okresu powstania partii, lat przygotowania do rewolucji, z dni Października i po Październiku, dopóki żył Lenin, był tak potężny, tak mocny był w nim pierwiastek ludowy, że siła ta nigdy nie wyczerpała się, nie zginęła. Siła ta okazała się zdolna wyprowadzić partię naj-

pierw na drogę XX Zjazdu, a teraz na drogę rewolucyjnej przebudowy (...)

Ocenę, kryteria, procedury opiniowania — to czynnik tworzący w sferze moralności. Obowiązuje tu swoiste prawo: jeśli chcemy podnieść poziom etyczny, to rze czą ogromnej wagi jest zapewnienie szerokiej możliwości nieskrępowanej, równo prawnej, wzajemnej oceny działalności komunistów, niezależnie od ich rangi i po zycji. Przez wiele lat było tak (a i dziś jeszcze to się utrzymuje), że zwierzchnicy z absolutnym poczuciem pewności wystawiali oceny podwładnym, zaś w odwrotnym kierunku oceny pozostawały nie wyartykułowane, nie trafiały do wiadomości publicznej, gromadziły się w umysłach, ciążyły na duszy (...). Tymczasem nagromadzenie takich nie wyartykułowanych, nie wypowiedzianych ocen na działanie destrukcyjne: powoduje eskalację skrajności, eksplozję niezadowolonych, wybuchy nerwowości, lub też na odwrót — po ciu, ch, powolnie, niezauważalnie rujnuje się ducha, wywołuje nastroje przynębiające ironii i zatwardziałego sceptycyzmu. Igra nie z procesami wzajemnych ocen w społeczeństwie, a tym bardziej w partii, jest rzeczka niebezpieczna. Tymczasem zaś licze no struktury aparatu na wszystkich szczeblach nadal jeszcze pozostają niedostępne dla ocen plynących od łola do góry (...)

Istnieje jedno uniwersalne, moim zdaniem, kryterium oceny działalności zarówno ludzi, jak wszelkich organizacji. Mam tu na myśli zastosowanie w takim charakterze faktu o niespodziewanej wiarygodności — faktu, iż życie człowieka jest krótkie. Nakłada to wielkie obowiązki na społeczeństwo, państwo, partię. Kiedy się coś planuje, kiedy podejmuje się decyzje na jakikolwiek szczeblu, zwłaszcza zaś wyższym, kiedy ustanawia się takie czy inne reguły, porządku procedury to pierwszą rzeczą, o której należy pamiętać, jest to, że czas dany człowiekowi na ziemi jest krótki. W ostatnim rachunku cała działalność w sferze kierowania społeczeństwem sprowadza się do tworzenia określonej struktury użytkowania przez człowieka tego krótkiego okresu, jakim jest jego życie. Czyż z troszczeniem się o to, aby człowiek nie marnował na darmo dni i lat swego krótkiego życia, nie jest najważniejszą rzeczą, jaką możemy dla niego zrobić?

Strach pomyśleć, ile godzin, dni, ile lat pożerał i jeszcze nadal pożera biurokra-

Polacy na Litwie

## Skończyć z mitręgą

Pod powyższym tytułem w wileńskim polskojęzycznym „Czerwonym Sztandarze”, ukazał się artykuł na temat losów Polaków zamieszkujących w ZSRR. Jego autorem jest przedkian wydziału języków obcych w Wileńskim Państwowym Instytucie Pedagogicznym, docent Jan Ciechanowicz. Redakcja zamieściła publikację w rubryce „Zdaniem czytelnika”. Tekst podajemy w oryginalnym brzmieniu:

W okresie stalinizmu i zastój, narodowa mniejszość polska w zachodnich regionach ZSRR traktowana była po macoszemu. Według danych oficjalnych, w Związku Radzieckim mieszkało przed 10 laty około 1,2 mln Polaków. W poprzednim okresie byliśmy bodaj jedną grupą etniczną, która kurczyła się pod względem liczebności. Co znaczyło to kurczenie się? Czy fizyczne wymieranie? Czy wynarodowienie? I dlaczego tak się działo? Wyczerpującej odpowiedzi na te pytania mogą udzielić naukowcy po starannym, szczegółowym zbadaniu sprawy. Tu zaś spróbujemy przytoczyć kilka tzw. „wymownych” faktów. Setki tysięcy Polaków, którzy pozostali po wojnie na ziemi swych przodków i nie wyjechali ani na Zachód, ani na Wschód, pozabawionych zostało jeszcze w okresie Stalina prawa nie tylko do języka ojczystego, ale nawet do własnego imienia. W dowodach osobistych Polaków na Białorusi zapisywano — mimo ich sprzeciwu „Białorusin” albo „Rosjanin”. Nie zezwolono na otwieranie szkół, ani nawet na lekcje języka polskiego. O prasie, edytorstwie nie było nawet mowy. Podkreślili szkolne, dotyczące okresu sprzed II wojny światowej, przesycone były antypolskością, Polaków pokazywano w krzywym zwierciadle fałszerstw pseudonaukowych, jako „panów”, imperia listów”, sojuszników Niemiec hitlerowskich”. Ta antypolska paranoja doznała szczególnego „rozwoju” w okresie stalinizmu i breżniewizmu na terenach BSR i USSR. Zupelna cisza panowała wokół 60-tysięcznej mniejszości polskiej na Litwie, jakoby tam ona w ogóle nie istniała.

Jedynym wyjątkiem na tym tle była Litwa Radziecka, gdzie po krótkim okresie szczyku i ograniczeń, mimo iż samo litewskie życie narodowe znalazło się w dość niekorzystnej sytuacji, potraktowano Polaków ze zrozumieniem. Otworzono paręset szkół polskich, gazet „Czerwony Sztandar”, zezwolono na względnie szeroki margines swobody w rozwoju amatorskiej twórczości artystycznej. Do dziś Litwa pozostaje jedyną republiką związkową, w której Polacy mogą pozostawać sobą nie narażając się na jakiegokolwiek rodzaju formy szikan i ograniczenie praw.

Ale i tu, na skutek pewnych obiektywnych warunków, Polacy byli coraz bardziej spychani na margines życia społecznego. Stan obecny jest skutkiem tych procesów i jest on nader smutny. Mówią o tym również oficjalne statystyki. Obecnie z 250 szkół polskich pozostało 92. Rocznie zamyka się 5—7 szkół. Tylko jedno z czterech polskich dzieci udaje się do polskiej szkoły, bo rodzice widzą, że po tej szkole bardzo wiele drzwi przed młodzieżą z hukiem się zatrzasnęło. A ktoż życzy swemu dziecku źle? I niestety, te obawy rodziców nie są urojone. O ile Polacy wśród ludności republiki stanowią 7—8 procent, o tyle wśród studentów jest ich załedwie 2 proc., o czym niedawno pisał na łamach „Czerwonego Sztandaru” K. Walenciusz, odpowiedzialny pracownik KC KP Litwy. Przez dziesięciolecie stan ten się nie zmieniał na lepsze. Polaków mamy nieproporcjonalnie mało wśród inteligencji tworzącej i naukowej, wśród elity politycznej, w takich sferach, jak sadownictwo, medycyna itp. Za to do minują wśród sprzątańców, szweców, krawców, kucharek itp.

Wychodząc z istniejącego stanu rzeczy Komitet Centralny Komunistycznej Partii Litwy podjął w kwietniu 1988 roku uch-

tyzm — ten mur nie do przebiccia! Wystawanie w kolejkach, zdobywanie zaświadczeń, decyzji, biletów kolejowych, biletów do teatru — i tak na każdym kroku! (...) Wszystko należałoby konfrontować z tym niezawodnym kryterium, które jest równo cennie i czysto ludzkie, i ekonomiczne. Ostatnio zaczęliśmy się troszczyć o ochronę przyrody, ale przecież w naszej ojczyźnie przyrodzie rzeczka najcenniejsza są nasi rodacy, jest krótki czas życia każdego z nas. W tym właśnie powinniśmy współzawodniczyć z Zachodem i wygrać z nim we współzawodnictwie o to, jak wykorzystamy ten czas życia człowieka. U nas, czy u nich — produktywniej rozchodzi się dni i lata. (...)

Niedawno dawałem rekomendację do partii pewnemu wartościowemu człowiekowi. Napisałem na jej maszynie, podpisałem się. Człowiek zaniósł rekomendację do komitetu, a tam mówią, że niedobra, bo trzeba napisać piórem. Przepisałem piórem, ale znów okazała się niedobra, bo atrament powinien być koniecznie niebieski. Nie było mi żal własnego czasu, ja już przywykłem, ale jaki jest wstyd przed młodym człowiekiem, który przy pierwszym zetknięciu z partią, jeszcze za nim do niej wstąpił, musiał uśmiechać się z goryczą, podziwiając naszą partyjną biurokrację.

Okradanie człowieka z danego mu czasu życia jest przestępstwem. Ta forma przestępczości jak na razie jest u nas szeroko rozpowszechniona, weszła w nawyk. Czy przypadkiem nie dlatego tak nielitościwie obchodzimy się z czasem życia człowieka, że jeszcze stosunkowo niedawno obchodziliśmy się nielitościwie z samym jego życiem jako takim?

Przebudowa dokonuje się zrywami, idzie z trudem. Niestety, także i w partii. Oko w oko stają naprzeciw siebie dwie historyczne tradycje: stalinowska — antydemokratyczna i leninowska — demokratyczna. W istocie rzeczy są to dwie kultury polityczne w jednej partii, dwa oblicza naszej partii (...). Jeżeli procesy demokratyzacji zostaną ukrocone, jeśli przebudowa zostanie odrzucona, to nasza partia czeka moralna śmierć. Takie jest w każdym razie moje osobiste przekonanie. Albo przebudowa nabierze charakteru nieodwracalnego albo partia nieodwracalnie zacznie ginać. Przy takim obrocie spraw zdrowe siły odejdą z partii. Bądź też zostaną wyeliminowane. (...)

wał w której wskazywał na konieczność gruntownej poprawy sytuacji. Wyższe uczelnie republiki zobowiązano do zwiększenia rekrutacji na studia młodzieży na rodowici polskiej. Komitet do spraw Poligrafii zobowiązano do rozpatrzenia zagadnienia i rozszerzenia wydawania literatury pięknej w języku polskim („Komunistas”, nr 5 1988).

I co dalej? Nie! Absolutnie nie! Także w roku bieżącym narodowość polska ma turzyszyć była pierwszym znakiem, że podlegają „odsiewowi” podczas egzaminów na studia. Wystarczy spojrzeć na listę tych, którzy składali podania o wstęp, oraz tych, których przyjęto. Z reguły absolwenci szkół polskich zostali poza burzą uczelni. W tym roku jak nigdy dotąd odsetek „poza” był szczególnie wysoki. Jedyną bodaj uczelnią, której kierownictwo poważnie traktuje uchwałę kwietniową (1988) KC KP Litwy i nie dyskryminuje młodzieży polskiej jest Wileński Państwowy Instytut Pedagogiczny, oznaczony Orderem Przyjaźni Narodów. Tutaj Polacy stanowią do osmiu procent całego kontyngentu studentów. I to do lat. Rektorat i organizacja partyjna działają tu w kierunku konsekwentnie internacjonalistycznym. Natomiast kierownictwo i nych wyższych uczelni ma jak widać za nie oficjalne dokumenty i polecenia najwyższych władz republiki. Chciałoby się uchwalić byłego Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego republiki oświadczenie w języku ojczystym. I nie ma żadnych powodów myśleć, że zacznie działać inaczej. W tej sytuacji proponuję, by „Czerwony Sztandar” zwrócił się w imieniu ludności polskiej Lit. SSR z prośbą, aby ustalić numerus clausus, zobowiązujący wszystkie uczelnie republiki do zapewnienia 7—8 proc. miejsc dla młodzieży pochodzenia polskiego. Przy takim oficjalnym nastawieniu odpowiednich resortów będzie z czego wybrać.

Podobnie rusza z miejsca sprawa wydawania u nas w republiki książek i czasopism w języku polskim. Skoro produkujemy 7—8 proc. bogactwa narodowego Litwy, należy się nam odpowiednio tyleż dotowanych dóbr kultury. Przy czym nie „dobrej wujaszek” musi tu nam zrobić łaskę. Chodzi o zastosowanie się do paragrafów Konstytucji ZSRR. Uważam, że czas najwyższy zażądać od odpowiedniego resortu rozpatrzenia drogi otwarcia w języku polskim książek miejscowych autorów, jak też innych. Od kilku miesięcy przedstawiciele Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego na Litwie objają progi Komitetu ds. Poligrafii, lecz nie otrzymali nic prócz uprzejmych zapewnień, że sprawa zostanie w przyszłości rozpatrzona.

Pracujemy dla naszej radzieckiej Ojczyzny. Dziś, tu i teraz. I dziś domagamy się, by wszyscy szanowali jej ustawy dotyczące również faktycznego równoprawienia wszystkich narodowości — tak, by — jak to określał tow. Michał Gorbaczow — „Każdy obywatel radziecki, niezależnie od tego, kim jest z pochodzenia i gdzie mieszka, czuł się pełnowartościowym, szanowanym przez innych człowiekiem”. Uważam, że pierestrojka dla Polaków radzieckich oznacza radykalną zmianę na lepsze, umożliwia wyzyskanie ludzkiej i narodowej godności. Ona też umożliwiła nam otwarte artykułowanie na swój potrzeb i protest przeciwko wszystkiemu, co jest sprzeczne z socjalistycznym internacjonalizmem.



Październik 1956 — pierwsze polskie odejście od myślenia i działania w kategoriach stalinizmu — w pokoleniu poststerepewskim rozbudził nowe ambicje intelektualne z chęcią ich realizowania w praktyce. W Zielonogórskim ta pozytywna postawa, potrzeba organiczności, wyrażała się w inicjatywie powołania do życia Lubuskiego Towarzystwa Kultury, jako platformy spełniania się ludzi pragnących swoją postawą społecznikowską i energię wyrazić przez konkretne działania na rzecz rozwoju kultury w regionie, odstępując od przeciętnych ogólnopolskich standardów.

sukcesem propagandowym. Miało znakomite recenzje. Politycy tęskniący za unifikacją traktowali wzorzec LTK jako propozycję modelową dla ruchu społeczno-kulturalnego w całym kraju. Dla urzędników ministerialnych zielonogórski ewenement był okazją do demonstrowania jedynie słusznej, w miarę liberalnej polityki kulturalnej.

Powstaje pytanie, w jaki sposób krąg przywódców Lubuskiego Towarzystwa Kultury był w stanie zdyskontować sukces propagandowy i uzyskać z tego tytułu siłę sprawczą? Odpowiedź w jednym zdaniu, że na miarę posiadanych pieniędzy, taka ocena byłaby krzywdą

Towarzystwu Kultury przypisać też można ważne dla środowiska Nadodrza jednak incydentalne fakty: istnienie dwutygodnika społeczno-kulturalnego, ocalonego przed zakusami kolejnych reformatorów rynku prasowego, kilkadziesiąt filmów dokumentalnych nakręconych przez Klub Filmowy. Ranga tych filmów w miarę jak czas się zmienił, będzie rosła, być może będzie to jedyna nowoczesna dokumentacja naszej historii najnowszej. W przyszłości, przez istnienie tych filmów zobaczymy będzie można nie tylko kronikę dworską z życia kolejnych sekretarzy ale i króla Polaków Cichego, żyjących w tam

## LAD I BEZWŁAD

Ryszard Rowiński

Regionalizm, zjawisko mocno związane z polską, zwłaszcza dziewiętnastowieczną tradycją, znalazł swój nowy wyraz. W województwie zielonogórskim była to konieczność jak najszerzego zajęcia się ludnością rodzimą — bimojszczyzną. Walory tej ludności — patriotyzm, realizm gospodarczy, autentyczność kultury ludowej poprzez mądrze stosowaną inżynierię społeczną, mogły stać się własnością ogółu, zaś zdaniem ideologów ruchu, skupionych przy nim publicystów, powinny one być jednym z budulców nowej kompozycji społecznej powstającej na Ziemiach Zachod-

nia dla działaczy i zakwestionowaniem sensu istnienia samego ruchu.

Przyjrzenie się faktycznemu dorobkowi Lubuskiego Towarzystwa Kultury z dłuższej perspektywy czasowej a więc dziś, pozwala na przypomnienie następujących faktów: zgromadzenie pod sztandarem LTK całego przed laty środowiska młodoliterackiego, mądry mecenat umożliwiający debiuty książkowe, pozwolił na profesjonalizację niektórych członków tego środowiska. Mógł powstać i z szansy tej skorzystał, oddział Związku Literatów Polskich. Za chęcią do badań regionalnych w dziedzi-

nych latach uczestników Powstania Wielkopolskiego, Jurija Gagarina na ulicach Zielonej Góry budowę huty „Głogów”, wykład rezerwu przyrody w Słonsku itd. Myślę, że wiele dobrego o mecenacie LTK mogłoby powiedzieć uczestnicy amatorskiego ruchu plastycznego, z których niejeden doczekał się satysfakcji dzięki promocji tej organizacji.

Jest to bilans niepełny a jednak nie najgorszy. Niewiele jest w kraju organizacji społecznych, zajmujących się kulturą, z podobnym, niekwestionowanym dorobkiem. Wylania się jednak pytania co swego czasu się nie udało a co zrobione być powinno. Po pierwsze, jako kwestie kluczową, paraliżującą zwłaszcza dziś, należy postawić brak własnych, przez siebie wypracowanych pieniędzy. Kiedys działalność produkcyjną, prowadzoną przez organizację społeczną, celem której jest zysk, była właściwie niemożliwa. Dziś brak takiej działalności, skazywanie się na nader skromne dotacje państwowe, budzi niechęć społeczną, zaś w łonie samej organizacji, w kręgu przywódczym, po woduje skostnienie myślowe, brak inicjatywności. Po wtóre, w przeszłości tak jest i dziś, z różnych powodów LTK miało kłopoty z wyspecyfikowaniem swego zaplecza społecznego a więc również z wylaniem kolejnych ekip kierowniczych i co teraz daje o sobie znać, brakiem potrafiących pokonywać bariery, menadżerów. LTK u swego zarania było ruchem młodych, posiadających aspiracje inteligentów-humanistów. Dziś są to inteligenci o w miarę zaspokojonych aspiracjach i raczej się dziwi. Bez zaplecza w młodzieży, młodej inteligencji humanistycznej i równie technicznej, niewiele jednak można zdziałać.

W sferze działań praktycznych Lubuskiemu Towarzystwu Kultury nie udało się profesjonalizacji edytorstwa. Nie udało się powołanie oficyny wydawniczej, nawet wtedy gdy w kraju powstawały one jak grzyby po deszczu. Nie udało się nadanie sensu działalności klubu filmowego, na oparciu go o zdrową ekonomikę na zasłucie do zajęcia się tak żywiołowo rozwijającym się amatorskim ruchem filmowym. Na wet mody na muzykę młodzieżową — wieści o nich nie docierały do LTK.

Lubuskie Towarzystwo Kultury, które nie potrafi prowadzić interesów, konkurując z prywatnym biznesem działającym w jego własnej strefie wolności a więc i w łonie kultury, zasługuje na pytanie — co ma dziś do zaoferowania szerokiemu kręgowi społeczeństwa, mieszkańcom Lubuska. Zar Bródów? Oferta w postaci członka przysługującego na spotkaniu autorskim, to dziś stanowczo za mało. Jak więc dziś zakotwiczyć swoją egzystencję w szerokim zapleczu społecznym? Jest to pytanie podstawowe o charakterze ostatecznym.

Nakreślił ten stary zegar, pisaliśmy piętnaście, dwadzieścia lat temu. I był to postulat, który nie został spełniony. Jest jak jest Nowa ustawa o stowarzyszeniach społecznych spowoduje że ranne ostrą konkurencję różnych pomysłów i inicjatyw. Jeśli ich nie będzie w Lubuskim Towarzystwie Kultury, byłby to zasługą, cześć, której organizacja społecznej, wcale nie musi być zagwarantowana.

Po 1956 roku gdy LTK było pomysłem wspaniałym, przeciętny mieszkaniec regionu kupował książki za śmie sznie niską ceną swojej pensji. Magistrów w mieście wolewódzkim było znacznie mniej niżeli dzisiaj doktorów. W tym 40 tysięcznym mieście nie zleżały klasa radiodbiorników był na wyposażeniu tylko niektórych domów. Czar no biały aparat telewizyjny był marzeniem. Z powodu galonady cen kolorowy telewizor odsuwa się z zasięgu ręki przeciętnej rodziny. Ale rodziny nieprzeciętne, radzące sobie w kryzysie, szukały zdolnych mechaników, którzy no trafiały budować anteny i przystawki pozwalające odbierać programy zagraniczne, choćby z Czechosłowacji i NRD. I to do budowy do aparatów są substytutem anten satelitarnych, na które stać bardzo nielicznych. W coraz to większej liczbie mieszkań znaleźć można aparaty wideo biblioteki nagrania filmowych. Powstają całe łańcuchy wymiany. Wydaje się, że jest to zjawisko kulturowe, świadczące o tym, że świat się zmienia. Świat zawsze się zmieniał, wolniej lub szybciej. A w zmieniającym się świecie zawsze istniały enklawy, gdzie ruch dokonywał się jakby wolniej, aż w pewnym momencie stawały się ciekawostką.

Kazimierz Furman



Nocą  
Samotność  
Podchodzi człowieka od tyłu  
Na palcach cichych  
I rozmawia z nim  
Szeptem poruszeniem firanek  
Cieniem sprzętów  
Człowiek milczy  
Przemawia w nim oddech  
W samotności  
Czas zdarty ze ścieżnych kalendarzy  
I zmięta w dłoni kartka  
Wzór rajszy dzień  
Boli  
Jak odrzwione do krwi ostrze  
Albo róża  
Wkluwająca się w skórę  
Zadłami piękna  
Nocą  
Gdy samotność  
Wszystko jest dużo większe  
Od człowieka

## Kłęcząca róża

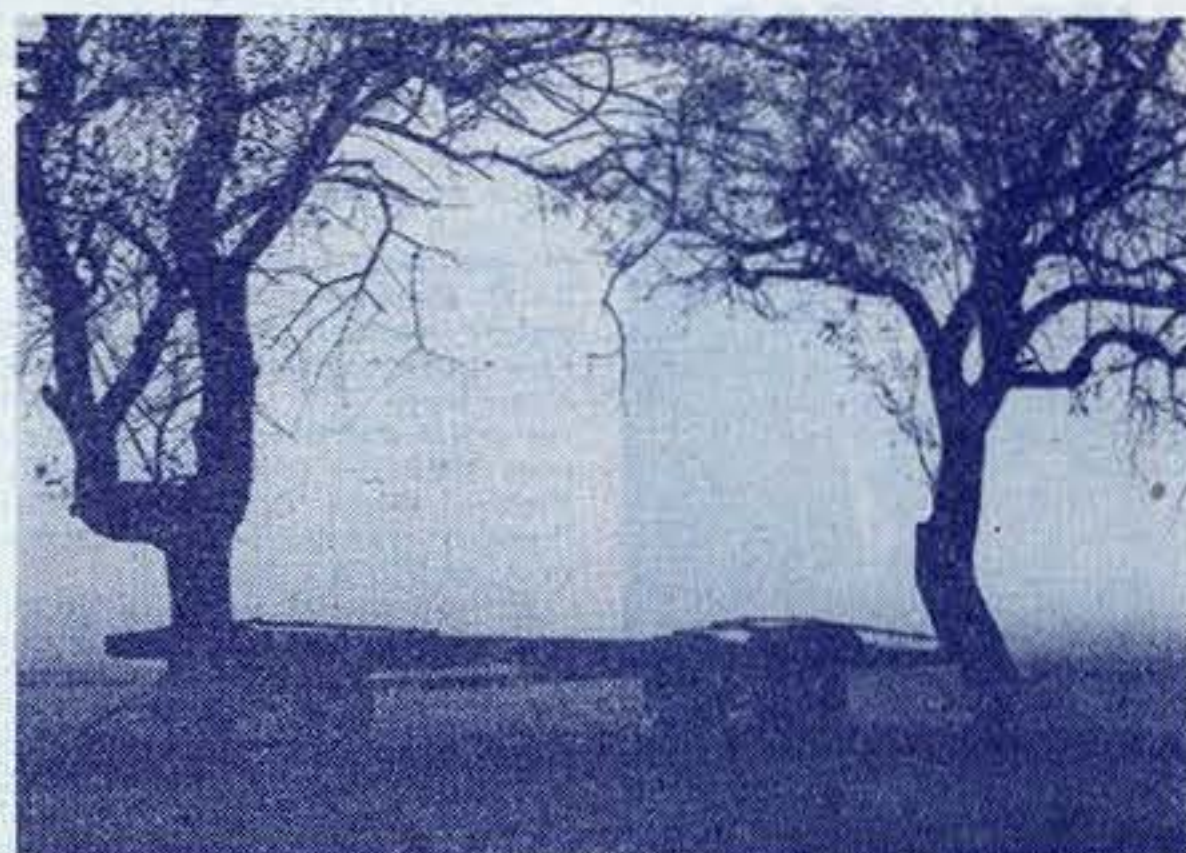
Sen mnie szarpie za włosy  
Odrwa od poduszki  
Krwawie  
Wbiegam w śnieg  
Nagi  
Nóż za mną  
Dziób ptaka prosto z ognia  
Wbił się w plecy  
Farbuje tę biel  
Kwiat wyrasta  
Rodzi się w tym zdumieniu kobieta  
Podnosi z ziemi prześcieradło  
Owija mnie  
Stygne  
Kleka u moich stóp ta róża  
Oczy rani  
Lzami

## Martwa natura

Cały wazon słońca  
To słońcezniki z pół w Aries  
Zatrzymany czas  
Jak gdyby strumień włosów zaplęciony w warkocz  
Gorący obrus nieba wokół  
Mała dojrzala w zbożu

Vincent podchodzi do stołu  
Paletę bierze  
Pędzlem zbiera słońce z nieba  
Na płótno słońcezniki kładzie  
Ślawi się

Wieszam na ścianie  
Bul  
Ucho  
Pistolet  
Rachelę płacze



Uciekam  
Po prostu boję się  
To normalne  
Gdy człowiek jest sam  
Wyspa  
Pośród wzburzonego snu

Nie będę udawał że jest inaczej  
Nie tak znów ze mnie bohater  
W zasięgu oka nie ma żadnej latarni  
A drogowskazy leżą powalone  
Brzytwę pochłonięło morze obojętne

Tylko ci  
Którzy szczerze otoczyli sen  
Nie odchodzą  
Choć już południe

Fot. ZDZISŁAW DADOS



Fot. ZDZISŁAW DADOS

nich, więc i na środkowym Nadodrzu. Te wartości funkcjonować powinny w kompozycji na zasadzie równych praw z zaletami prezentowanymi przez ludność napływową, dominującą tu w sensie ilościowym, którą cechuje ruchliwość, umiejętność organizacyjna, ambicja, doskonalenia rzeczywistości.

W kategoriach polityki Lubuskie Towarzystwo Kultury reprezentowało odwieczny nacjonalizm, zaś poprzez członków cały pluralizm postaw od katolików do marksistów, którzy przez walory myślenia, umiejętność egzemplifikacji, byli czynnikami wiodącymi i przywódczym z powodów porządkotrynalnych.

Lubuskie Towarzystwo Kultury w założeniu swoim musiało być faktycznie organizacją demokratyczną. Demokratyzm miał się zabezpieczać przez autonomię poszczególnych ogniw oraz nierzeczywiste, niezależność od struktury organizacyjnych, aparatu urzędniczego, funkcjonujących również w kulturze. Idea niezależności szybko została praktycznie porzucona z powodów utylitarnych. Lubuskie Towarzystwo Kultury nie posiadało własnych, znaczących dochodów, zatem i faktycznej swobody dysponowania środkami finansowymi.

Lubuskie Towarzystwo Kultury, zwłaszcza na progu swego działania i jeszcze przez kilka lat było ogólnopolskim

nie historii, publikowanie wyników tych badań, otworzyło przed szeregiem regionalistów perspektywę konwencjonalnej kariery naukowej w ograniczonym zakresie. Powstało Lubuskie Towarzystwo Naukowe i dwie wyższe uczelnie. Dotarcie do takich celów na lubuskiej drodze do uniwersytetu, byłoby niemożliwe bez fermentu myślowego w łonie LTK, aprobowanego przez mieszkańców regionu.

Droga, na której poruszało się Lubuskie Towarzystwo Kultury, doprowadziła do aktywizacji zawodowej środowiska twórczych istniejących w miastach wojewódzkich, dzięki pragmatyce, Teatru Żeglarskiego, Okopińskiego, nie musiało w Zielonej Górze być, ale był. Z trwałym zapisem ich dorobku w historii polskiego teatru. Nie musiało być wzrostu ilościowego i jakościowego, środowiska ostatecznego z jego festiwalową czasem ponadpolską legendą. Nie musiało być przekształcenia orkiestry symfonicznej w kształt wyższy — filharmonii, to jednak się stało. Wreszcie dzięki Lubuskiemu Towarzystwu Kultury, Zielona Góra — region z tego też skorzystał — wybiła się ponad przeciętność innych małych stolic, stając się atrakcyjnym intelektualnie partnere środowisk twórczych dużych ośrodków kulturalnych — Krakowa, Wrocławia, Poznania, Warszawy, Lubuskiemu



Dzięki rozlicznym badaniom dobrze już znana jest bohaterka postawa polskiej ludności rodzimej zamieszkującej Babimojszczyznę, Dąbrowkę Wielkopolską, Trzciel, Pszczew. Zbyt mało natomiast wiadomo o postawie Polaków z południowej części Pogranicza Lubusko-Wielkopolskiego, zwłaszcza w ciągu pierwszych dwóch dekad bieżącego stulecia. A przecież i tam toczyli Polacy pełną determinację walkę o utrzymanie stanu posiadania. Również tam Niemcy, choć pobici w wyniku pierwszej wojny światowej, wykorzystywali każdą okazję, aby upominać się o swoje prawa polskość zdusić, zmasakrować. I prawdę mówiąc, tam osiągnęli cel, zmuszając przeważającą większość ludności do opuszczenia z ówczesnych Niemiec.

Jako jeden z przykładów posłużyć może sytuacja, która wytworzyła się w miejscowości Śmieszkowo, na południowo-wschodnim cyplu województwa zielonogórskiego.

\* \* \*

Stoję nad ni to szerokim rowem melioracyjnym, ni to wąskim kanałem. Nad mostkiem tablica orientacyjna. Po jednej stronie widnieje napis „województwo zielonogórskie” a po drugiej „województwo leszczyńskie”. Tablica, jakich wiele. Ale miejsce osobliwe. W pobliskich wsiach już tylko starzy ludzie pamiętają, że tędy właśnie w latach międzywojennych przebiegała granica oddzielająca Rzeczpospolitą od Rzeszy Niemieckiej.

Ale zanim w 1920 r. granica została na dobre ustalona, a także później, rozgrywały się tu rozmaite incydenty.

Zacznijmy jednak od tego, że ta okoliczność z całą Wielkopolską w wyniku drugiego rozbioru znalazła się pod władztwem Prus. Jednakże mimo wyjątkowej akcji germanizacyjnej w takich miejscowościach jak Wiewo, Potrzebów, Lgini a także Śmieszkowo Polacy stanowili większość ludności.

W końcu maja 1920 r., prawie w rok po zawarciu traktatu wersalskiego, doszło do ostatecznego wytyczenia granicy przez czterostronną aliancką komisję delimitacyjną (z udziałem Francuzów, Anglików, Włochów i Japonczyków). I wtedy w jej gronie zapadł werdykt, że Śmieszkowo pozostać miało po stronie niemieckiej a pobliskie, za mostkiem Potrzebów — po polskiej. Granica miała być wzdłuż „anali”.

Na nie się zdążyły jawne manifestacje ludności polskiej ani tajne „podchody”. Decyzja pozostała niewzruszona. I wtedy doszło do wydarzenia, które na polu żartobliwie pozwolili sobie nazwać „ostatnim zajazdem na Śmieszkanie”. Z zaprzysiężonych akt prowadzonych przez pruskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wynika, że 26 sierpnia 1920 r. (a więc w trzy miesiące po zakończeniu prac przez komisję delimitacyjną) „polscy żołnierze przy udziale ludności cywilnej zamieszkującej w Potrzebowie

napadli na 6 kompanię Sipo, czyli polski bezpieczeństwa, odkomenderowaną do Śmieszkowa”.

„W toku zajęcia — czytamy — jeden z wartowników został draśnięty kulą, ale nie odniósł poważniejszej rany”.

W Śmieszkowie mieszka jeszcze tylko dwóch starszych panów, którzy z uwagi na wiek (liczą sobie po przeszło 80 lat) mogą pamiętać o tym wydarzeniu. Jednakże ani Franciszek Kurpisz ani Stanisław Drużyński nie zachowali we wspomnieniach tego właśnie incydentu. Widocznie nie nabrał on takich rozmiarów, jakby to wynikało z niemieckiej reakcji na wydarzenie. Natomiast Kurpisz pamięta doskonale, że

zniesiono w aktach incydentu. Wynika z nich, że władze niemieckie postanowiły go rozdmuchać. Już nazajutrz skierowano do Śmieszkowa posiłki policyjne uzbrojone w ciężkie karabiny maszynowe. Niemiecka ludność powołano pod broń w ramach tzw. „lokalnej samoobrony”. Wprowadzono godzinę policyjną. Władze twierdziły bowiem, że „istnieje powstanie powiatu miejscowości ludności w Śmieszkowie oraz Polakami i zalogą wojskową w Potrzebowie”.

W jednym z kolejnych dokumentów opisujących incydent czytamy, że krytycznego dnia niemiecki strażnik graniczny nazwiskiem Carl „Zauważył na

rejencji minister wyjaśniając o co mu właściwie chodzi, pisał 17 września 1920 r.: „Z przedłożonego sprawozdania wynika, że polscy mieszkańcy Śmieszkowa podejrzani są o to, że działali w porozumieniu z pastnikami z zagranicy. Wobec tego, że w polskich więzieniach przebywa wielu Niemców obywateli polskich należy nam na tym, aby przeciwko podejrzany mieszkańcom Śmieszkowa niezwłocznie wszczęto postępowanie karne”.

W dwa tygodnie później minister wysłał do nadprezydenta rejencji pismo, w którym jednocześnie zażądał sprawozdania o stanie śledztwa.

Z pisma wysłanego 20 października przez sędziego śledczego na ręce nadprezydenta (kopia poszła do Berlina) dowiedzieć się można, że w Śmieszkowie aresztowano i oskarżono o zdradę stanu dwoje zamieszkałych tam Polaków — młynarza Wincentego Palucha oraz wdowę Marię Gonda.

Postępowanie napotykało jednak na trudności. Upływały tygodnie i miesiące, a śledztwo nie znajdowało epilogu. Wreszcie w lutym 1921 r. zniecierpliwiony minister spraw wewnętrznych zażądał wyczerpujących wyjaśnień. Wtedy okazało się, że materiał zebrany przez prokuraturę okazał się zbyt „słaby”. Zamiany władz niemieckich spaliły na panewce.

Skończyło się na tym, że Reichsgericht w Lipsku (Trybunał Rzeszy — do 1934 r. jedynie w Niemczech kompetentna instancja sądowa w sprawach o zdradę stanu) na niejawnym posiedzeniu w dniu 3 marca 1921 r. „po wysłuchaniu pisemnego wniosku nadprokuratora postanowił obwinionych z braku dowodów winy uwolnić od zarzutu popełnienia czynu karalnego i obciążyć kosztami procesu skarb państwa”.

Paluch wkrótce po wypuszczeniu z więzienia, podobnie jak ogromna większość Polaków ze Śmieszkowa, wyjechał do Polski. Po 1945 r. pokazał się znowu w rodzinnej wsi, ale potem gdzieś wywędrował. O dalszych losach Marii Gondy niczego w Śmieszkowie dowiedzieć się już nie można.

\* \* \*

Trudno w sposób pewny określić charakter owego wydarzenia. Należy jednak przypuszczać, że niemiecka policja bezpieczeństwa znając dobrze propolskie nastroje panujące wśród znacznej części mieszkańców Śmieszkowa, postanowiła wykorzystać stosunkowo blachy (jak na owe czasy) incydent, wyolbrzymiając go ponad miarę.

## OSTATNI ZAJAZD NA ŚMIESZKOWIE

Wiktor Lemiesz

Polacy ze Śmieszkowa w czerwcu i lipcu 1920 r. pisali odwołanie do Komisji Delimitacyjnej, prosząc o zmianę decyzji i włączenie wsi do Rzeczypospolitej. Zbierał podpisy Józef Napieralski, który potem, w 1922 r. opłował na rzecz Polski i wyjechał ze Śmieszkowa. Wyjechała również większość pozostałych Polaków i to wraz z rodzinami. Między innymi również moi rozmówcy — Kurpisz i Drużyński — znaleźli się w 1922 r. na wschód od granicy. Wrócili w rodzinne pieszczoty dopiero w 1945 r. Kurpisz mieszkał w czasie wojny w miejscowości Smigiel w powiecie kościańskim. Był już żonaty. Pewnego dnia oświadczył żonie: „Wracam do domu, w którym się urodziłem”. I wraz z najbliższymi znalazł się w rodzinnym gnieździe.

„Do 1922 r. — twierdzi Kurpisz — stanowiliśmy więcej niż połowę ludności. W domach polskich, a także w rodzinach małżeństw mieszanych rozmawiano głównie po polsku. Ale w szkole nie wolno było odezwać się słowem w tym języku. Ani na lekcjach ani broń Boże w czasie przerwy. Szkoła była czysto niemiecka. Za odezwanie się po polsku delikwenta oczekiwali bezlitosne „smary” czyli bicie, wymierzanie na miejsce przez wychowawcę. O nabożeństwo trzeba było toczyć uparte boje. W końcu po 1920 r. wywalczyli Polacy ze Śmieszkowa to, że do 1922 r. w co drugą niedzielę ksiądz wygłaszał kazanie po polsku.

I w takim klimacie doszło 26 sierpnia 1920 r., w kilka dni po zwycięskiej bitwie pod Warszawą, do uwido-

skrajni wsi tłum składający się z czterech polskich żołnierzy i około 50 cywilów. Carl wydał okrzyk i w tym momencie padł strzał po czym Carl otworzył ogień”. Teraz przybiegli liczni, świetnie wyszkoleni strażnicy niemieccy i „ruszyli tyralierą na Polaków, którzy kartofliskiem wycofali się na polskie terytorium”. Z kolei Niemcy przeprowadzili w porze nocnej rewizję w polskich domach w Śmieszkowie i rzekomo stwierdzili, iż „wszyscy mężczyźni byli całkowicie ubrani, choć w domach było ciemno i wyglądało, że czekali tylko na rozkaz”.

Co prawda Kurpisz niczego takiego sobie nie przypomina, ale jak było na prawdę?

\* \* \*

Dowództwo Sipo podtrzymało w owym czasie pierwotną wersję a nawet usiłowało ją rozbudować. W raporcie z 31 sierpnia czytamy: „Jedną trzecią ludności Śmieszkowa to Polacy. (Była to liczba jawnie pomniejszona — W.L.). W głowach polskich fanatyków wyległa się myśl przyłączenia Śmieszkowa do państwa polskiego. Realizacja tego planu miała niewątpliwie nastąpić 26 sierpnia. Zdaniem osób w tajemniczość tylko energicznemu wroczonemu Sipo należy zawdzięczać, że nie doszło do realizacji zamierzonego puczu...”

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Berlinie nie było zadowolone z przebiegu śledztwa. W utrzymanym w trybie tonie piśmie do nadprezydenta



Skończyły się wakacyjne wędrówki, zabrali dawonek szkolny...  
Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

## JAN TRZESZCZ 1924 - 1988



Nie spotykamy Go już na zielonogórskiej starówce, w miejskim ratuszu oraz w gmachu KW PZPR. Pozostanie w naszej pamięci jako czołowy wiek skromny, życzliwy i konsekwentny. Jan Trzecz zmarł nagle 14 sierpnia. Był znaczącą osobowością w życiu społecznym i politycznym miasta i województwa. Jego życiorys związany jest integralnie z dziejami środkowego Nadodrza.

Wraz z rodzicami dzielił los pol-

skich robotników przymusowych w III Rzeszy. Dzień wyzwolenia zastał go na wsi pod Głogowem. I w tym właśnie mieście nad Odrą, starym piastowskim grodzem, Jan Trzecz rozpoczął dalszą edukację, a później pracę w ruchu młodzieżowym i aparacie partyjnym. Zdążył jeszcze w międzyczasie włożyć mundur żołnierski, ażeby wziąć udział w walkach zbrojnych z wrogami nowego ustroju.

Z Głogowa skierowany został do pracy politycznej w Zielonej Górze. W latach 1957-1961 Jan Trzecz pełnił obowiązki przewodniczącego ZW ZMW. Potem przez wiele lat pracował w aparacie partyjnym. Był kierownikiem wydziałów Kadr i Organizacyjnego KW PZPR, i sekretarzem KM PZPR oraz przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej w Zielonej Górze. Działal aktywnie w licznych organizacjach społecznych m.in. w TPRP i ZBoWiD.

Zawsze wracał pamięcią do pracy z młodzieżą. I z młodzieżą chętnie się spotykał. Był aktywnym działaczem Komisji Historycznej przy ZW ZMW, nie zabrakło Go także wśród sympatyków i doradców Komisji Historycznej przy ZW ZSMP. Dzielił się wspomnieniami z lat wojennych na sesjach popularnonaukowych i spotkaniach organizowanych w wielu szkołach miasta. Kiedy Go pytałem, czy czas pozwala mu na to, odpowiadał skromnie: „To mój ideowy obowiązek i życiowa pasja”.

Praca społeczna była drugą naturą Jana Trzecz, nawet kiedy już znalazł się na emeryturze. W dowód uznania za zasługi na rzecz regionu i miasta otrzymał wiele odznaczeń państwowych, regionalnych i branżowych m.in. Krzyże Komandorski, Oficerski i Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złota Odznaka Honorowa „Za zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego” oraz Medal za „Zasługi dla rozwoju miasta Zielonej Góry”.

Jan Trzecz pozostawił po sobie wzór godnej do naśladowania postawy partyjnej i obywatelskiej. I takim Go zapamiętamy.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

## Jak w zgranym chórze

Ciąg dalszy ze str. 1

Durskiego Edwarda Lipińskiego, Józefa Smyka.

Andrzej Chomka uruchomił zakład, zajmujący się opracowywaniem programów komputerowych.

Asortyment produkowanych przez członków spółdzielni wyrobów wzbogaca się z każdym rokiem. Są wśród nich między innymi: ceramika budowlana i szlachetna, elementy betonowe, materiały izolacyjne, meble, artykuły z grupy 1001 drobiazgów kafe (jedyny tego typu zakład w całym regionie prowadzi Anna Staniszeńska).

O sile spółdzielni decyduje przede wszystkim potencjał usługowo-produkcyjny warsztatów rzemieślniczych. Ale jej wizytówką, dobrą wizytówką jest lokal jednostki. I pomyślcie, że w momencie utworzenia w 1963 roku było to zaledwie 25 metrów kwadratowych, czyli nawet nie porządne M-2. U schyłku lat siedemdziesiątych wznieśliśmy przy ulicy Ulańskiej budynek o powierzchni ponad 1000 m kw. Mieszczą się w nim biura, zaplecze magazynowe, trzy sklepy, siedem punktów usługowych: zegarmistrzowski, fotograficzny, optyczny, fryzjerski, złotniczy kosmetyczny, manicure i pedicure. Od nie dawna podjęto prace remontowe w znajdującym się tu obok „prawie ruinerze”: uruchomionych tam zostanie pięć kolejnych placówek usługowych. Wypada tylko pozazdrościć mieszkańcom Zar.

Rzemieślnicy stanowią społeczność, która potrafi wyjątkowo dobrze liczyć ewentualne zyski i straty. Rodzi się więc pytanie — co właściwie decyduje o tym, że ilość członków spółdzielni stale rośnie?

### DLACZEGO PRZYCHODZĄ DO SPÓŁDZIELNI

Nie ukrywajmy, że w pierwszym rzędzie decyduje o tym wyjątkowo korzystna forma opodatkowania — tzw. ryczałt spółdzielczy. W dodatku, ciężar prowadzenia dokumentacji finansowej i rozliczania się z urzędem skarbowym spada na barki spółdzielczej admini-

stracji. W przypadku konfliktów z kontrahentami jednostka broni interesów rzemieślnika, występuje w jego imieniu w ewentualnym postępowaniu arbitrażowym. I to występuje skutecznie czego dowodzi fakt, że blisko 90 proc. spraw zostaje wygranych. A na wet w sprawach przegranych nie dochodzi nigdy do finansowego Waterloo.

To jednak nie wszystko. Poza tym spółdzielnia:

— zapewnia sprzedaż „rzemieślniczych wyrobów w swoich trzech sklepach, a także szuka nabywców po całej Polsce, m.in. w czasie targów poznańskich; — pomaga w uzyskaniu właściwego zaopatrzenia (w ubiegłym roku załatwiła surowce i materiały na kwotę ok. 140 mln złotych); — daje kredyty na zakup materiałów (do 20 proc.) oraz zaliczki pod wykonanie zamówienia (do 1 mln złotych). Jest to sprawa niezwykle istotna, zwłaszcza w sytuacji, gdy wielu kontrahentów ma okresowe kłopoty z „żywą gotówką”;

— gwarantuje niezbędną pomoc prawną. I to też bardzo się liczy, gdyż w istniejącym gąszczu przepisów nieprawidłowo trudno się jest zorientować. A nieznajomość przepisów nie zwalnia od odpowiedzialności.

Wreszcie — na uwagę zasługuje prowadzona przez spółdzielnię działalność społeczna i kulturalno-rozrywkowa. Na cele te przeznaczają się co roku po kilka milionów złotych (np. w bieżącym — 7). W grę wchodzi dofinansowywanie różnych form wypoczynku, organizacja krajowych i zagranicznych wycieczek, okolicznościowych spotkań emerytów i rencistów. W przypadku środowiska „rozpisanego” na dwieście różnych warsztatów, takie nieformalne wizerki mają niebagatelne znaczenie.

Wszystkimi tymi sprawami zajmuje się spółdzielnia administracja, licząca kilkanaście osób, których średnia wiek to ledwo przekracza 30 lat. A trzeba tu wziąć pod uwagę, że ilość papierów dokumentujących działalność rzemiosła jest kilkakrotnie większa, niż w zakładzie przemysłowym tej samej skali. Kontrolę także zdarzają się tu o wiele częściej — w ubiegłym roku było ich w Zarach 17. Stąd zrodził się pomysł zakupu komputera, pomysły bar

dzo szybko i bardzo małym nakładem kosztów wcielony w życie. Wybrano bowiem najtańszy wariant zakupu, bez zbędnych pośredników. Komputer typu IBM trafił do spółdzielni poprzez „Malubex” (którego jednostka jest udziałowcem) aż z Singapuru. W pierwszej kolejności komputeryzacja objęła zostanie gospodarka finansowo-księgową — później — materiałowa.

A że byli pierwsi wśród organizacji zrzeszonych w lubuskiej Izbie, przejdą dalej teraz do nich wycieczki z innych spółdzielni. Podpatrują, czy i na ile cały ten interes się opłaca.

### SA DOBRZY

nie tylko w zakresie wprowadzania „nowinek” (w przygotowaniu mają też m.in. własną wzorcowinę). Również jeśli idzie o ofiarność społeczną. W ubiegłym roku wartość czynów i przekazywanych na cele społeczne funduszy przekroczyła 2,4 mln złotych. Daje to 12 tysięcy złotych na każdego członka spółdzielni.

Na ostatnim walnym zgromadzeniu postanowili zerwać z „dotychczasową anonimowością” przyjmując nazwę „Renoma”. „Nazwa, która zobowiązuje” — napisało „Słowo Zarskie”. Pewno, chodzi im przecież o dobrą opinię. Jej podstawowym warunkiem jest właściwe wywiązywanie się wszystkich członków ze swych rzemieślniczych obowiązków. Określa je szczegółowo zatwierdzony przez walne zgromadzenie „dekalog”. Chodzi tu między innymi o terminowość i wysoką jakość świadczonych usług, odpowiedzialność jakoś wyrobów, rzetelność kalkulacji cen, kulturę obsługi, terminowość w placeniu składek ZUS-owskich. Kto jest na bakiar z rzemieślniczą etyką — musi ze spółdzielni odejść. Dotychczas pozabawiono członkostwa 10 osób, kilka dalszych ma już w specjalnym zeszycie „punkty ujemne”.

Podczas ostatnich wyborów, głosami ponad czterech tysięcy osób dyrektor Zenon Helwing wybrany został radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze. Mandaty radnych MRN w Zarach uzyskali rzemieślnicy: Jan Bienkowski, Marek Czajkowski, Jan Szymkowiak, Mieczysław Leszczyński, mandat radnego MRN w Lubsku — B. Grusław Ciesiak.

Patrząc na dotychczasowe osiągnięcia zarskiej spółdzielni, osiągnięcia będące efektem kolektywnej pracy, można być chyba pewnym, że głoszący na nich wybory dokonali właściwego wyboru.

EDWARD J. MINCER



# OPOWIEŚCI OSTATNIEGO DOROŻKARZA

Piotr Piątkowski



Ostatni dorożkarz

Repr. CZ. LUNIEWICZ

Jednosobowy pokój w hotelu robotniczym jest świeżo po remoncie. Ładnie to chłopcy zrobili, połowęczkę im postawili; jest czysto i pachnie farbą. Na ścianach powróciły ulubione obrazy z koni, zdjęcia synów, pamiątki z dawnych lat. Jest też widokówka z Australii, którą przysłał kolega syna. Na widokówce para siwych koni ciągnie wspaniałą dorożkę z pomalowanymi na czerwono sprychami. Taka dorożka to było kiedyś bogactwo. W Zielonej Górze nie ma już dorożek; wyparły je „garbate” warszawy, bo to i wiatr nie wieje i szykownie. Teraz szykownie byłoby dorożką; samochody spowolniały. Mieczysław Surowiec sprzedał swojego konia w 1963 roku, nie wytrzymał konkurencji z techniką i urzędnikami. Ostatnia dorożka w Zielonej Górze z numerem 4 nie powie już gości z dworca pod „Orla”, albo do „Centrali” czy „Widoku”. I „Orzeł” już nie ten, po „Centralce” dawno śladu nie ma, a „Widok” padł ostatnio, dał miejsce pod nową trasę szybkiego ruchu.

Marian Surowiec zawsze czuł sentyment do koni i jak tylko zdarzyła się okazja i były pieniądze, to kupił — jak mówi — najpierw małego koniczka, a później dorobił się trochę większego. Zdarzyła się okazja i kupił zdezelowaną dorożkę, wyremontował, wypieszczył i w 1952 roku rozpoczął karierę dorożkarza. W tym czasie 5-6 dorożek regularnie kursowało po mieście. Chleb to nie był lekki, ale też nie z tych najcięższych. Stawało się o szóstej rano pod dworcem, albo na Placu Lenina, a na odpoczynek zjeżdżało się o dziesiątej wieczorem, a czasem i później. Cenik był „mniej więcej umiarkowany”: 3,5, 15 złotych, jak więcej osób, to i więcej placili. Wozilo się prywatnie i na rachunek — firma była solidna: pan Marian, albo dla bliższych znajomych Miś, koś Rysiu, dorożka i pieczone. Firma musiała być porządną, bo dołupili panu Marianowi osiem tysięcy domiaru niby na podstawie tego, że miał zawsze wyglądowane buty, Rysiu! Iść czystością, a dorożka była malowana dwa razy do roku; urzędnicy na podstawie tych namacalnych znaków wywnioskowali, że Marian Surowiec zbija większe pieniądze od pozostałych dorożkarzy.

Jak pan Marian wspomina Rysia, to i za niego się w oku kręci. Na komendę: Rysiu, idziemy! koń podchodził do momenta zawieszono na sznurku i tak kręcił głową aż homonto znalazło się na konskim karku. — Tak, konia ja nauczyłem, a gorzej było z niektórymi ludźmi... Miał ja kiedyś dwa koniczki, to wynajmowali mnie do karawanu na pogrzeby. Dobrze placili, 50 i czasem 100 złotych, ale ja długo tego nie wytrzymałem. Patrzę, idą za tym karawanem dzieci i placzą, i dorosłe ludzie placzą, to i ja płakałem. Zostałem przy Rysiu. Wozili rzy do szpitala, na chrzcinach i na weselach. Jak milicja kazała pić, to go odwieźć...

Ostatni zielonogórski dorożkarz przeżył przez te jedenaście lat wiele zabawnych i dramatycznych przygód. Był osobą znaną w mieście, a i dziś wielu pamięta go z tamtych lat.

— Na Niepodległości zatrzymuje mnie jeden elegancki z urodziwą damulka i mówi żeby jechać do lasu, to ja zaraz wjeżdżam o co chodzi. Mówię, że po co do lasu, jak na Wyspiańskiego są piękne drzewa i tam mogę zawieźć. Po jechali my na Wyspiańskiego. Owszem, wysiadł, zapłacił, a ja pojechałem na dworzec. Koło dworca patrzę, a w dorożce została sie teczka. Pod siedzeniem miał ja taką szufladę tam schował tą teczkę. Po tygodniu gość przychodzi i pyta czy ja teczki takie i takiej nie widział. To ja pytam co tam w tej teczce było; mówi, że pół litra wiśniówki, kabanosy i aparat „Leica”. Tak i było. Gość zaraz to pół litra odpieczętował i wypili my po kielichu. Za drugi podziękowałem, bo nigdy nie jedździłem wypili.

— Kiedyś indziej zabrałem koło dworca gościa, któremu bardzo się spieszyło do Fabryki-Mebli. Ot, powiedział jak zdąży na osmą, to dostanę coś ekstra. Wcześniej jeszcze było, samochody wtedy tak nie jeździły, jak teraz, to podjechałem koniczka i na osmą my zajęchali. Gość wypłacił dwadzieścia złotych, wziął rachunek i pognął na portiernię. Ja pojechałem na Plac Lenina. Tam na postoju patrzę, a gość zostawił teczkę, a w niej fura papierowych pieniędzy. To ja szybko pojechałem z powrotem do fabryki. Pytam portiera, czy nie widział gościa, którego ja przywoziłem — a on na to, że to nie gość tylko wariat, rzucił dokumenty na portiernię i gdzieś pobiegł. No, w końcu gość znalazł mnie koło dworca; w oczach miał obłęd, a pot z niego strumieniami leciał. Pa nie, w teczce było 70 tysięcy, a wtedy za trzy złote można było się kleibać najes. Oddał ja mu teczkę, to on kazał mi pod „Gazetę” jechać. W „Gazecie” chciał mi ogłosić takie podziękowanie, ale redaktorka go postraszyła, że pójdzie siedzieć za niedopilnowanie obowiązków służbowych, to my podziękowali za to ogłoszenie. Gość zaprosił mnie na „Widok”. Tam stracił kilkaset złotych, bo komu ja sie ukłonił: to on do stołu zaprosił. Mówiłem mu żeby tak nie zapraszał, bo ja połowę miasta znam, ale on tak się cieszył, że tych pieniędzy nie zgubił, że tam my w końcu na kilka stołów bał zrobić.

— Pan to może nie pamięta, ale w tych czasach to robili takie zakazy sprzedawania wódki czystej. To było zawsze: pierwszego, dziesiątego, dwudziestego i ostatniego. Sprzedawali tylko gatunkową. W taki dzień zatrzymał mnie jeden dyrektor mleczarni i prokurator. O, panie co to byli za goście! Geby tłuste, karki bycze, ten prokurator ważył 140 kilo, a dyrektor też za 120. Mówią: Misza, gdzie tu wódki czy stęj można się napić. To ja ich zawiozłem na Dąbrowskiego, do „Lubuskiej”, tam znalazłem bufetową, mówię: Władzia, mam tu takich dwóch chuliganów, trzeba im dać jakiś oddzielny pokój. Tam oni zjedli po dwie ogromne golonki i wypili litr wódki. Potem mówią, żeby jeszcze gdzieś pojechać. Powiozłem ich do klubu dziennikarzy, znalazłem tam dobrze tego agenta. Najpierw jak mu powiedziałem o co chodzi, to bał się sprzedać wódkę, ale jak zobaczył te geby to skakał koło nich aż łurzało. Potem to jeszcze my pojechaliśmy do „Centrali”, ale tam to już szły gatunkowe. Tak i ja jeździłem z nimi aż do rana.

— Kiedyś zawiozłem ja koło „Widoku” jednej takiej maszyny do szycia. Patrzę, a przed „Widokiem” na chodniku stoi dorożka z koniem mojego kolegi. Wchodzę do lokalu, a tam bał na cale go. Kolega siedzi przy stole i wódkę pije. Mówię mu ja, że co on robi, koń na chodniku stoi, przyjdzie milicja i będą kłopoty. On mi na to, że bym był cicho, że bym siadł i pił, a jeszcze sto złotych dostanę. A tam pił z nimi jeden taki, co miał pieniądze ze sobą dla robotników, też mnie znał. Cyganie kradła, wódka sie leje. Ten fundator mówi do mnie: „Mieciu, ratuj”. To ja mu kazałem iść do mojej dorożki, ale to nie było tak łatwo, nie chcieli go wypuścić. Jeden mu nogę podstawił i ręką do kieszeni sięga, ale jakoś ja go wyrwał z ich rąk, i do dorożki... Ale jeszcze ten co do kieszeni sięgał złapał mi konia i nie puszcza, to ja go wtedy bałem i pojechałem. Zawiozłem gościa do żony, a na drugi dzień zaczęło się na mnie polowanie. Czterech ich czekało na trasie w krzakach, rękawy pod wijały. Wtedy to mnie jeden milicjant uratował, bo by było ze mną źle. Milicjantowi ja później chciałem się odwdzięczyć i pod „Oriem” mu setkę do piwa ciemnego wlałem, ale to widział ich komendant i potem wziął na spytłki tego milicjanta czemu on ode mnie wódkę pił. Tamten sie zaparł. Później komendant mnie pytał, a ja powiedziałem, że mu wlałem do piwa setkę bo on mi żyć uratował, to komendant powiedział, że jak taka sprawa, to czemu tamten głupi sie nie przyznał, że wypił ode mnie...

Dwóch z tamtych łobuzów to później spotykałem i już nie nie było. Fajnie to były chłopaki, w deche — jeden później w więzieniu zmarł, a drugi zapisał sie w monopolu jak tam pracował przy wóдке. Tak, chłopaki byli w deche...

Był lipiec 1945 roku. Na wniosek inspektora szkolnego Feliksa Tworzydły wyznaczono kilku pracowników celem przeprowadzenia oględzin byłych obiektów szkolnych. W ekipie tej znalazł się m.in. Andrzej Krawczyk. To on właśnie odkrył jako pierwszy była siedziba loży masonskiej. Odkrycie to było wydarzeniem niecodziennym i wywarło wielkie wrażenie na młodym człowieku.

Mieczysław Turski, od maja 1945 r. mieszkaniec Zielonej Góry, opisał po latach wizytę w świątyni masonów we wspomnieniach pt. „Takie to były czasy”, które wydało Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry i Lubuskie Towarzystwo Kultury w 1973 r. Loża Wielkiego Orientu mieściła się przy Placu Słowiańskim na pierwszym piętrze budynku, w którym Niemcy zlokalizowali jedną z kilku restauracji miasta.

A oto relacja Mieczysława Turskiego:

zgodnie z hierarchicznym stopniem wlaściwym przed wszystkim miejscu w przemyśle. Byli wśród nich m.in. właściciel fabryki włókienniczej Foerster, założyciel wytwórni szampanów Grempier i Beuchelt, główny udziałowiec zakładów konstrukcji mostowych. Na stopień czeladnika w miejscowej loży byli przyjmowani niektórzy bogaci kupcy i wyśi rangą urzędnicy oraz przedstawiciele bohemy twórczej. Loża miała wybitnie ekskluzywny charakter. Jej kierownictwo jak twierdzi M. Turski „uprawiało skostniały rytuał i reprezentowało wsteczny konserwatyzm daleki od statutowej filantropii i humanizmu”. Członkowie loży tworzyli więc niedostępny dla profanów klan ludzi powiązanych ściśle wspólnotą interesu ekonomicznego i bliskimi więziami towarzyskimi. I taki charakter posiadała większość loż prowincjonalnych, które działały m.in. w Gorzowie Wielkopolskim, Międzyrzecz, Sułchowie i Głogowie.

We wrześniu 1932 r. symboliczna Wielka Loża Niemiec oficjalnie uczestniczyła jeszcze w XXIX Międzynarodowym Kongresie Pokoju w Wiedniu. Po dojściu Hitlera do władzy otrzymała zakaz zaprzestania swej działalności a wielu jej wybitnych działaczy osadzono w obozach koncentracyjnych. Wielki Mistrz tej loży, dr Leo Muffelmann, znalazł się w więzieniu w Spandau. Hitlerowcy zmusili ponadto kierownictwo Wielkiej Loży, ażeby wysłało do Wielkiej Loży Francji telegram informujący ją, iż reżim narodowosocjalistyczny nie dopuszcza się zbrodni i okrucieństw.

Ponadto 28 marca 1933 r. trzy staropruskie wistkie loże skierowały do Hitlera depesze o następującej treści: „Loże deklarują swą jedynostkę i przysięgają do narodowego rzędu zjednoczonego z prusko-królewskim i cesarsko-niemieckim domem oraz zapewniamy o swoim najgłębszym oddaniu (...) stojące do naszej dyspozycji siły zaprzęgniemy do współzawodnictwa w

dziale odbudowy naszej ukochanej Ojczyzny”. Tekst tej depeszy pomieścił na swoich łamach „Grünberger Wochenblatt” z 29 marca 1933, który moż na odnaleźć w zbiorach Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Starym Księżynie.

Alte mimo tego oświadczenia, Hermann Göring stwierdził publicznie, że „wolnomularstwa nie można pogodzić z narodową rewolucją”. Władze hitlerowskie oświadczyły, że „wolnomularstwo nie może uczestniczyć w ruchu narodowosocjalistycznym i że hylemu wolnomularzowi nie może być powierzone żadne stanowisko”. Wreszcie dekret Göringa z 16 stycznia 1934 r. zlikwidował oficjalnie loże staropruskie,

obawie przed ich zagładą wywieziono je w liczbie 80 tysięcy jednostek do Sławy Śląskiej. Stąd pracownicy służby archiwalnej przewieźli dokumenty archiwalne do Ciężenia w województwie poznańskim, gdzie większość z nich była już przechowywana, sprzed stu lat!

Ciążen, gdzie jest obecnie filia Biblioteki Uniwersytetu Poznańskiego, to dawna posiadłość Wacława Wiktora Gutakowskiego, syna Wielkiego Mistrza

polskiej masonerii. Ludwika Gutakowskiego. Materiały przechowywane w Ciężeniu to zbiór obejmujący prawie wszystkie dziedziny życia masonerii w Europie. Przeważają w nich papiery z loż niemieckich, ale można również tutaj odnaleźć także teksty masonskie w języku francuskim i angielskim, a wśród nich niezwykle już dziś cenny pierwodruk konstytucji Andersona z 1723 r. — swoistej „biblii masonów”, wyznawców „Wielkiego Budownika”.

## Loża Czcigodnych Braci

go: „W obszernym pomieszczeniu pałował mrok i zaduch. Ale mimo ciemności rozniecać można było bielącą się czaszkę ludzką i znaczących rozmiarów kandelabry. Przywiesiłem zapalke. Ścianę w pokoju i sufit wyłożone były błękitnym materiałem ozdobionym złotymi frezami (...). Wysockie kandelabry otaczały długi stoł pokryty błękitną kapą ze złoceniami. Całą podłogę wysycał dywan, w trzech narożnikach stały lichterze. Na bocznych stołkach leżały skórzane fartuchy dużych rozmiarów, młot, kielnia, pion i trojek z metalem”.

W loży między oknami zasłoniętymi storami z błękitnego materiału ozdobionego złotymi frezami wisiał duży rozmiarów kalendarz, wskazujący rok 5945. Skąd wzięła się ta liczba? Otóż bracia tworząc reguły tajnego stowarzyszenia o filozoficzno-mistycznym charakterze oparli je na strukturze średniowiecznych cechów murarskich i liczyli czas od początku świata, który według ich przekonania miał powstać cztery tysiące lat przed naszą erą. W pomieszczeniu odnaleziono ponadto egzemplarz kwartalnika „Letomia” wydawanego przez lożę wolnomularską w Lipsku.

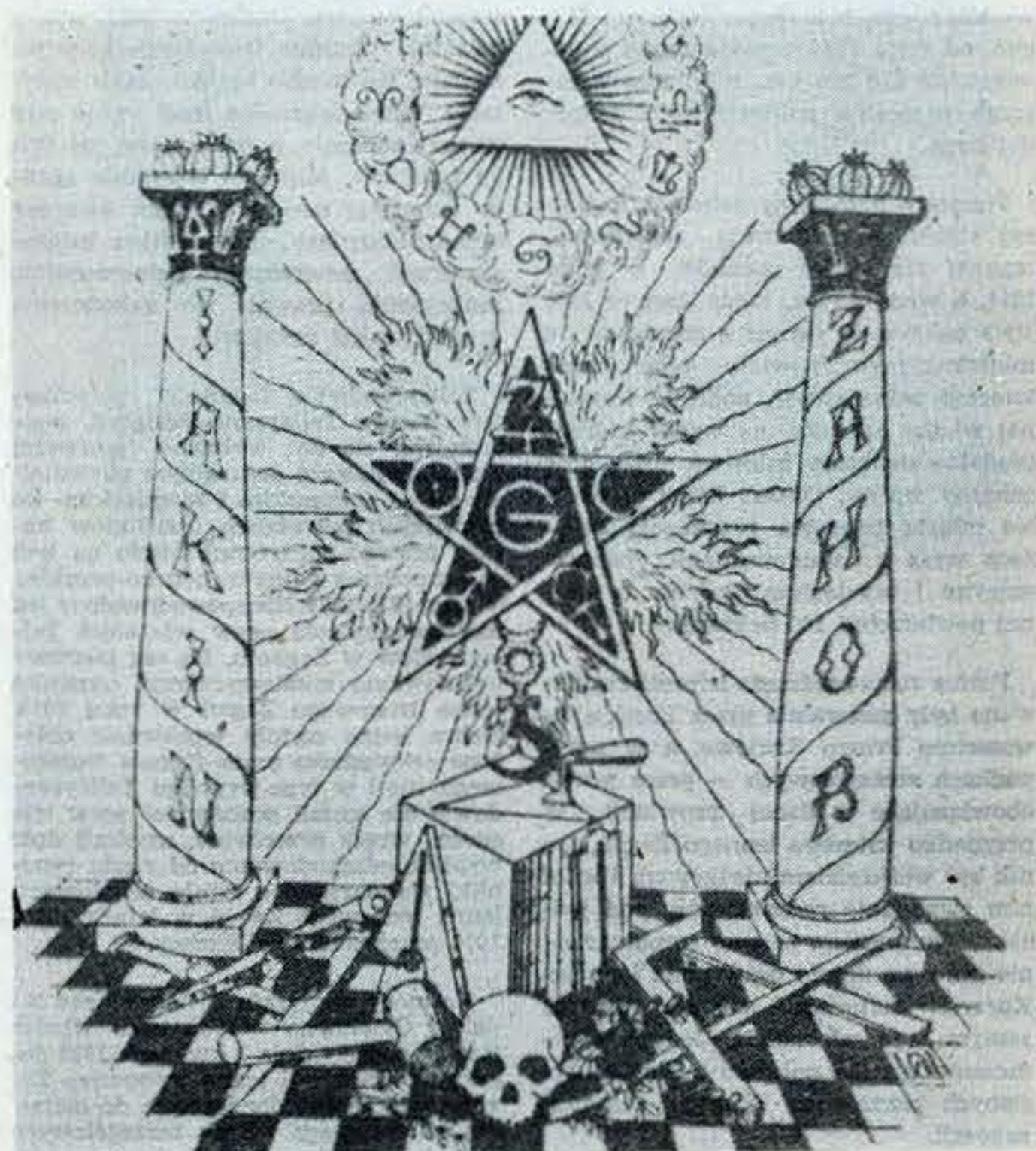
Loża masoniska w Zielonej Górze była filią wielkiej loży z „Dreżna, historycznie wywodzącej się z loży „Wielkiego Orientu” w Londynie, założonej w 1717 r. Stąd też pełna nazwa loży brzmiała „Afiliowana loża Wielkiego Orientu — krajowa Saksonii”. Stanowiąca mistrzów zajmowali w niej

kto przed rozwiązaniem liczyły łącznie około 55 000 wolnomularzy, arzezonych w 710 lożach.

Biorąc pod uwagę wybitnie ekskluzywny charakter loży w Zielonej Górze i udział w jej pracach czołowych przemysłowców miasta można domniemywać, iż działała ona w największej tajemnicy aż do końca 1944 r. Organa miejscowej policji i SS, mimo decyzji Adolfa Hitlera o likwidacji loż masonskich w III Rzeszy, tolerowały działalność i zebrania miejscowych masonów. Z wieloma z nich bowiem utrzymywały nieformalne kontakty i drobne interesy finansowe, mimo to lukratywne dla hitlerowskich funkcjonariuszy.

Tuż przed odwołaniem wojsk hitlerowskich znad Odry i Nysy Łużyckiej pozostali w Zielonej Górze masoni zbiegli się jeszcze kilkakrotnie w swojej świątyni przy Placu Słowiańskim. Oma wiano w gorączkowej atmosferze bieżącej sytuacji polityczno-militarnej III Rzeszy, której koniec wydawał się już nieuchronny. W lutym 1945 r. ostatni bracia opuścili w pośpiechu miasto raz na zawsze. I tak pozostała po nich legenda „wiana nimbem tajemnicy oraz loża — miejsce rytualnych właściwości i poufnych rozmów nie tylko o filozoficznym charakterze.

Warto jeszcze odnotować, że bogate zbiory masonskie w postaci licznych druków i rękopisów odnaleziono w 1945 r. w Sławie Śląskiej. Stanowiły one kiedyś własność loż niemieckich na Śląsku i Pomorzu. Gromadzono je pod koniec wojny w Berlinie, lecz w



Emblemat i symbole loży wolnomularskiej

Repr. CZ. LUNIEWICZ



W Zaganiu, w lutym br. pięcioletni Waldek ze starszym o trzy lata Marianem, przez wybiłą w drzwiach szybę weszli do Przedszkola nr 5 przy ul. Walowej, skradli zabawki i kolorową kredę.

Miesiąc wcześniej również dokonana została kradzież w tym przedszkolu. Sprawcy dostali się do wewnątrz przez wyważone okno i skradli termometr oraz dotleniacz. Złodziejami okazali się bracia Daniel lat 13 i Marek lat 11 oraz ich kolega jedenastoletni Wojtek.

W tym samym czasie także w Zaganiu inny chłopiec imieniem Wojtek, lat osiem, razem z czternastoletnim Ryskiem wytkukli szybę wystawową w sklepie spożywczym przy ul. Armii Czerwonej i weszli do środka. Zabrali dwie butelki wódki, stoik z fasolką, wodę mineralną, kilka jabłek i trochę słodyczy.

Mnożą się przestępstwa popełniane przez nieletnich, a wiek małych złodziejaszków obniżył się do granicy wręcz groteskowej.

Od początku stycznia do końca lipca br. w woj. zielonogórskim ujawnionych zostało 535 przestępstw, które popełniło 388 dzieci i nieco już starszych nieletnich. Stanowi to aż o 74 procent więcej, niż w analogicznym okresie ubiegłego roku.

Gdzie szukać przyczyn tego zjawiska? Ogólny spadek dyscypliny w kraju, burzliwe zdarzenia, trudności z jakimi borykać się trzeba codziennie, mała wartość pieniądza, rosnące ceny, niezadowolone i narzekające na brak perspektyw — wszystko to tworzy określony nastrój społeczny, który odbija się na psychice dziecka i nie pozostaje bez wpływu na jego zachowanie.

Psycholog w tym miejscu powie o poczuciu zagrożenia, które narasta w małym człowieku, aż znajduje ujście w dokonywanych świadomie czynach „na złość”, na przekór zakazom, wbrew prawu i światu dorosłych.

Gdzie są ojciec i matka takich dzieci? Ktoś może odpowie, że w koleżce, knajpie lub... w Turcji na handlowej wycieczce. Są tacy ojcowie i matki, którzy kupują dzieciom drogie ubrania, dają dobre jedzenie, wypłacają kieszonkowe w tysiącach lub dolarach, a poza tym chcą mieć święty spokój. Są też rodziny, w których dziecko nie jest szczytem przyszłości, ambicją, ale ziem koniecznym tolerowanym z dnia na dzień.

Organizacje dziecięce i młodzieżowe, które dawniej wychowywały, teraz zajmują się głównie akcjami i sprawozdaniami z nich. Szkoła już tylko uczy, na wychowanie nie ma czasu ani odpowiednich ludzi.

Czas więc nie sprzyja żadnym metodom wychowawczym, sposobom i systemom. Makarenko, światlane zasady dziadka Baden Powella, spartański skauting, przykazania harcerskie, także pospolita różga, stanowią w kacie i kłeczenie na grochu — z wszystkiego można się teraz tylko uśmiać.

I powiedzieć wprost: — rodzice, pilnujcie swoich dzieci, żeby nie kradli i nie waleśali się bez opieki, bo wyrósł wam na złodzieja i włamywacza! Albo spotka ich los trzech chłopców z Piotrkowa.

W ciągu siedmiu miesięcy br. kroniki milicyjne zanotowały o 20 procent więcej przestępstw drogowych i wy-

nad czterysta osób. Jedni odchodzili z torbami pełnymi półlitrowek, inni dochodzili. Gwar, zaduch, ciasnota. Kolejka po wódkę parokrotnie zawinięta, ziępiona z nieco mniejszymi kolejkami po chleb i mięso. Strach było wejść. I tak to trwało aż do zamknięcia sklepu.

Skoro już o kolejkach, to ich plagą są tzw. stacje. Stacje nie stoi po alkoholu (choć czasem też), ani po oleju sojowym czy margarynie (choć i to się zdarza). Stacje zajmują się wykupywaniem lodówek, zamrażarek, pralek automatycznych, telewizorów, mebli, tapet itp. Działają w grupie lub solo, często na czyjś konkretny zamówienie.

Normalni kolejkowicze tracą czas i zdrowie by kupić dla siebie np. telewizor, niecierpieliwają się i oburzają na stację. Bywa, że wzywają milicję. W

Wszystko to, choć z pewnością pewną ulgę społeczną przynosi, nie poprawia sytuacji. Statystyka jest straszna! Stajemy się narodem pijaków. Każdy statystyczny obywatel PRL, łącznie z niemowlętami, starcami i ludźmi chorymi, wypija rocznie dziewięć litrów czystego alkoholu!

Nasilili się kradzieże i włamania do mieszkań i samochodów oraz napady na osoby mieszkające samotnie, a mające opinie zamkniętych.

Milicjanci, którzy przybywają na miejsce wezwani przez poszkodowanych, mówią o niebywalej niefrasobliwości. Ludzie sami ściągają na siebie nieszczęścia. Nie zamykają okien, drzwi, samochodów, zostawiają otwarte balkony, piwnice i strychy. Zamknięciem spiżarni, komórek czy piwnicy jest czasem patyk i skobel. Są nieostrożni. Chwalą się niepotrzebnie tym co posiadają — a czasem tym, czego nie posiadają. Otwierają drzwi wejściowe na każdy dzwonek i każde pukanie.

Milicja ostrzega, a my powtarzamy już po raz któryś z rzędu, że każdy nieznajomy, stojący u progu, może okazać się niebezpiecznym przestępcą. Złodzieje i bandyci podają się za listonoszy, inkasentów, monterów, urzędników ADM. Czasem może to być miła pani rzekomo z opieki społecznej czy PCK lub ktoś udający świadka Jehowy. Po winni być na to wyczuleni wszyscy, a zwłaszcza ludzie starzy i mieszkający samotnie.

Złodziei i bandytów najczęściej nie pukają, lecz zakradają się — jak to miało miejsce w nocy 13 na 14 sierpnia br. w Gorzynie koło Lubuska. Bandyci napadli na mieszkającą samotnie 81-letnią kobietę. Wykrętili bezbezpieczniki i świecę w ciemności latarką prosto w oczy, domagali się, by staruszka wskazała, gdzie ukrywa dolary. W całej wsi było wiadomo, że pani ta otrzymała pieniądze i paczkę z zagranicy.

Napastnicy nie wierząc zapewnieniom, że dolary są w banku, brutalnie przetrząsnęli mieszkanie. Zabrali portfel z sumą 10 tys. zł, radio oraz zagraniczną poduszkę wyścielającą zapachy.

W ocenie WUSW w Zielonej Górze, wzrosło w województwie zagrożenie przestępczością kryminalną. W ciągu siedmiu miesięcy br. wszczęto 2.738 postępowań o ponad cztery procent więcej, niż przed rokiem. Połowa tych spraw dotyczy kradzieży na szkodę prywatną i społeczną. Zabezpieczenie majątku w wielu zakładach jest jeszcze niedoskonałe, a zdarza się, że wcale go nie ma.

Z najgroźniejszych przestępstw, jakie zdarzyły się od stycznia do lipca br. w Zielonogórskim, wymienić trzeba najpierw zgwałcenia, których było o 12 więcej, niż w ub. roku. Dalej statystyka milicyjna wymienia rozboje — było ich 26 — o jedenastce więcej niż w zeszłym roku, oraz bójki i pobicia, które zdarzyły się 23 razy, o trzynastkę więcej niż przed rokiem.

Co trzecie przestępstwo kryminalne popełniły osoby nietrzeźwe.

Ten czarny obraz uzupełniają przestępstwa gospodarcze, których jest nieco mniej, niż było w 1987 roku.

Pogorszenie się kryminalnej statystyki nie wpłynęło na to, co potocznie nazywa się ładem i porządkiem publicznym. Tu kradzież, tam gwałt, gdzie indziej bójka. A na ulicach spokój. Pijackowie się snują, ale na widok munduru chowają się po bramach. Zadnych większych zakładów i ekscesów. Krzyki i hałasy tylko nocą, w pobliżu tzw. lokali rozrywkowych, jak „Topaz” czy „Witebska” w Zielonej Górze.

W tym pozornym spokoju, wśród cichej rechy sian dzieją się niekiedy tragedie. W Nowej Soli mąż zabił żonę, w Przylipie — sąsiad sąsiada.

Dla zapewnienia obywatelom poczucia bezpieczeństwa milicja robi co może. Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych zmobilizował służby patrolowe, maksymalnie wykorzystując własne siły i w większym, niż dotychczas wymiarze korzystając z pomocy społecznej. W patrolach bierze udział ponad 70 tysięcy ORMO-wców, więcej niż przed rokiem żołnierzy, a także przedstawiciele różnych grup zawodowych i środowiskowych.

Niektórych drażni widok patroli. Ale wyobraźmy sobie, co byłoby, gdyby ich zabrakło?

W ramach „Wiosny '88” przeprowadzone zostały dwadzieścia trzy akcje, także takiej której jest — jak jest, a nie gorzej.

Coż pozostaje? Rozejrzeć się wokół siebie i spróbować samemu poprawić, co się da. Zmienić w drzwiach zamek na lepszy, zabezpieczyć samochód na parkingu, założyć wizjer. Sprawdzić gdzie jest dziecko i co robi. Wielkim ostrzeżeniem dla rodziców powinna być sprawa piotrkowska.

Do poprawienia sytuacji w jakiej się znajdujemy, konieczne jest uaktywnienie wszystkich wektorów działania. Potrzebny jest udział każdego z nas.

## CIEMNE REWIRY

Halina Ańska

padków, niż w tym samym okresie ubiegłego roku. Pogorszył się stan bezpieczeństwa na drogach. Zdarzyło się 201 wypadków. Śmierć poniosło 41 osób, czyli dwa razy więcej, niż przed rokiem. Liczba rannych wynosi 256 i jest większa o 25 procent.

Szkody poniesione w czasie wypadków częściowo wyrażone są sumą odszkodowań, wypłaconych przez PZU: 342 miliony 284 tys. zł. Jest to o połowę więcej, niż przed rokiem. Odszkodowania otrzymało 3.258 osób.

Przyczyną większości wypadków drogowych jest nadużywanie alkoholu przez kierowców oraz pijani piesi wędrujący różnymi drogami. Kto siada za kierownicą po wypiciu kieliszka wódki czy wina lub kufia piwa, ten nie ma wyobraźni. Nie jest to odważa, brawura, dowód męskości, ale głupota. Lekceważenie życia własnego i cudzego.

Zdawałoby się, że letnie upały odwołają amatorów alkoholu od butelki. Jest jednak przeciwnie. Na ulicach miast i wsi, wszędzie o każdej porze można spotkać pijanych lub podpiitych mężczyzn. Coraz częściej także kobiety.

W dni wypłat w sklepach z wódką ustawiają się przerażające kolejki. W jakim np. „Hermesie” pewnego dnia, przed stoiskiem z alkoholami stało po-

kolejce nieustannie wciąż te same osoby. Zapłaciły, kupiły, wyniosły ze sklepu — wszyscy to widzą, a nazajutrz wczorajszy nabywca znów wartuje pod sklepem. Proceder ten podobno szczególnie daje się odczuć mieszkańcom Zar.

Trudno stacowi udowodnić jakąkolwiek spekulację, bo zawsze może mieć sensowne wytłumaczenie. Z drugiej strony przecież tej kryzysowej prośbie podlegają się zazwyczaj emeryci z chudymi portfelami, którzy w ten sposób dorabiają sobie na życie. Choć znam też stacę wywodzącą się z alkoholowych „dołów”, którzy stoją w kolejkach za półlitra.

W ciągu siedmiu miesięcy br. do kolegiów w województwie zielonogórskim wpłynęło ogółem 3.021 wniosków za różnorakie wykroczenia popełnione pod wpływem alkoholu, o 250 więcej, niż w tym samym czasie roku ubiegłego.

Milicja zlikwidowała 214 melin pijakich i 112 punktów nielegalnej sprzedaży alkoholu. Za produkcję samogonu poniosła karę 47 bimbrowników. Do wytrzeźwienia funkcjonariusze MO zatrzymali 9.213 osób i ponad 30 tysięcy razy zmuszeni byli do interwencji wobec osób nietrzeźwych. Sporządzono 982 wnioski o leczenie odwykowe.

### Na tropie żagańskich dzieł sztuki (2)

## Ślady prowadzą do Borowiny, Kliczkowa i Miodnicy

Jerzy Piotr Majchrzak

Zagań na przełomie XVIII i XIX wieku liczył około 4.387 mieszkańców, a ludność księstwa niecałe 33.625. W zlepku niezależnych państw, księstw, hrabstw czy niezawisłych miast, jakie stanowiła Rzesza Niemiecka od pokoju westfalskiego 1648 roku, księstwo Zagań, od roku 1749 pruskie lenno o powierzchni 370 km kw., nie miało większego znaczenia politycznego i gospodarczego.

Pierwszy kompletny schemat feudalnej struktury organizacji zarządzania lennem żagańskim pochodzi z roku 1814, a więc okresu, kiedy granice księstwa pokrywały się już z granicami administracyjnymi powiatu żagańskiego, tworząc jedną całość, podległą formalnej władzy starosty, na wybór którego feudalne struktury księstwa miały dość znaczny wpływ. Obszar lenny w obrębie miast tworzyła rezydencja książęca wraz z zabudowaniami towarzyszącymi i przyległym parkiem o łącznej powierzchni 102 hektarów.

Formy rozporządzania lennem regulowane były generalnie przez Pruskie Po wszechne Prawo Krajowe, a w przypadkach szczególnych — przez prawa obowiązujące w danej prowincji. W przypadku księstwa lennego Zagań, lennik był właścicielem użytkowym i mógł nim swobodnie rozporządzać, pod jednakże warunkiem, że owo rozporządzenie nie uszczuplało praw pana lennego. Korzyści materialne stawały się tym samym jego własnością. Jedyne ograniczenie lennika polegało na ściśle określonych przez pana lennego zasadach sukcesji.

W roku 1845 król pruski Fryderyk Wilhelm IV przyznał księstwo lenne Zagań Dorocie Talleyrand-Perigord, o-

raz uznał, na jej prośbę, Bosona Talleyranda, wnuka Doroty, sukcesorem lennem Zagań. Zagań podniesiony został do rangi „lenna tronowego”, co w praktyce dawało wprost nieograniczone uprawnienia „księciu lenna. Po śmierci księżnej Doroty w 1862, zakres działania struktur feudalnych księstwa zmienił się bardzo szybko. Jako instytucja, lenno żagańskie traciło swoje pierwotne znaczenie, a nazwa jest już tylko tytułarna. Mimo to wszystkie agendy księstwa: zarząd książęcy, książe urząd budowlany, intendentura książęca, urząd generalnego pełnomocnika, funkcjonują prawie do zakończenia drugiej wojny światowej.

Talleyrandowie żagańscy, potomkowie Doroty Talleyrand-Perigord, legitymowali się do wybuchu pierwszej wojny światowej podwójnym obywatelstwem — francuskim i niemieckim. Do pierwszych poważnych konfliktów natury prawnopolitycznej doszło na tym tle już podczas wojny francusko-pruskiej w roku 1870/1871. Nie spowodowało to jednak uszczuplenia praw własności Talleyrandów w Zaganiu. Po raz pierwszy ustanowiono komisarycznego zarządcę lenna tronowego Zagań w roku 1914. Dobra lenna zostały wprowadzone obłożone sekwestrem przez fiskusa wojkowego, ale i w tym wypadku Talleyrandowie nie zostali pozbawieni praw własności, wręcz przeciwnie, uzyskali dość wysokie odszkodowanie od rządu republiki weimarskiej z tytułu ekspropriacji lenna tronowego Zagań w latach 1914-1918 przez cesarskie Niemcy.

Na mocy paragrafu 250 Pruskiego Kodeksu Cywilnego z 1930 roku władza Rzeszy podjęła dnia 1 kwietnia 1935 decyzję o likwidacji lenna tronowego Zagań i włączenia dóbr lennych do majątku państwowego. Brak szczególnych przepisów wykonawczych w tej sprawie spowodował, że decyzja ta nigdy nie została wykonana w aspekcie prawnym. Tak więc w myśl obowiązujących praw niemieckiego i międzynarodowego,



PALAC W ZAGANIU. Portret Doroty Talleyrand-Perigord, księżnej żagańskiej, pędzla Claude'a D. Dubufe'a. Obraz ujęty jest w spisie dzieł sztuki, zdeponowanych jeszcze w grudniu 1944 roku w piwnicach żagańskiego pałacu.

wego, aktualny wówczas właściciel lenna tronowego Zagań, Paul Louis Bosson II książę Talleyrand-Perigord, obywatel francuski, był nadal jego właścicielem. Taki był stan prawny lenna w chwili, gdy ważyły się losy zgromadzonych w żagańskim pałacu dzieł sztuki.

22 kwietnia 1944 roku Knigge w raporcie do Wydziału Samorządowego Prowincji Śląskiej informował o przedsięwziętych krokach w celu zabezpieczenia pałacu i zbiorów przed atakami z powietrza. Obiekt poddany został szczególnej ochronie. Najcenniejsze zbiory z pierwszego piętra zostały zapakowane do skrzyń i przetransportowane do piwnic pałacu. Knigge w swoim raporcie wiele uwagi poświęca meblom, szczególnie tym francuskim z XVIII i XIX wieku: ze względu na ich kruchość należy je bardzo niecierpliwie opakować i także przemieścić do piwnic. W tej sprawie architekt Albrecht i pani Jeschek, kasztelanica pałacu, otrzymali odpowiednie instrukcje. Albrechtowi polecono także przygotować pro-

jekt odpowiednich stelaży do przechowywania obrazów, bez wyjmowania płócien z ram. Zarządzono także rozbiórke zabytkowych szaf bibliotecznych w skrzydle kurlandzkim. Rozważa się możliwość transportu książek poza obręb pałacu. Na miejsce przechowywania zbiorów bibliotecznych proponuje się pałac w Miodnicy koło Zagań lub pałac w Borowinie koło Szprotawy, należący do hrabiego Stosch. Część zbiorów zostanie przewieziona do Kliczkowa koło Bolesławca. Knigge domaga się konkretnych informacji, co do daty ewakuacji szpitala polowego i muzeum rasy parter obiektu. Wyprowadzenie szpitala z pałacu zwolniłoby nowe pomieszczenia do przeniesienia z wielu dużych ilości mebli tapicerskich, które są poważnym zagrożeniem pożarowym.

Włączenie się do akcji przemieszczenia żagańskich dzieł sztuki śląskiego konserwatora zabytków prof. dr. Grundmanna, nadało całej sprawie szerszy niż do tychczas wymiar. Grundmann był poważnie zaniepokojony stanem zabezpie-

czenia zbiorów i nie zawsze aprobował podjęte w tej mierze środki ochronne. Przede wszystkim był przeciwny ewakuacji zbiorów do Kliczkowa.

26 kwietnia 1944 Grundmann w obecności Kniggego dokonał wizytacji pałacu Solmsa w Kliczkowie. Jego opinia była negatywna. Jeżeli jeszcze mógł zgo dzić się na umieszczenie tutaj skrzyń z książkami, to w żadnym wypadku obrazów i rzeźb. W piśmie do Kniggego z 30 kwietnia Grundmann pisze: „jeżeli już zaistnieje absolutna konieczność ewakuacji zbiorów, to obiekty w Kliczkowie, po odpowiednich pracach adaptacyjnych, mogłyby przyjąć księgozbiór żagański oraz zbiory manuskryptów Doroty Talleyrand-Dino”.

W innym miejscu pisze: „w żadnym wypadku... nie wchodzi w rachubę obiekt w Borowinie... najpewniejszym miejscem lokalizacji zbiorów są solidnie sklepione piwnice żagańskiego pałacu...”

8 czerwca 1944 roku Grundmann złożył na ręce Hankego informację o stanie zabezpieczenia obiektów sztuki w żagańskim pałacu. Jak również o ewentualnej możliwości częściowego przemieszczenia zbiorów do Kliczkowa. Ponownie podkreśla, że Kliczków widzi tylko jako miejsce składowania żagańskiej biblioteki, zbiorów epistolograficznych, określonej „rupy drobniaków, w żadnym przypadku zaś obrazów, mebli i rzeźb. Borowina nie wchodzi w ogóle w rachubę.

16 czerwca Knigge do Grundmanna: „Zgodnie z Pańskimi zaleceniami wszystkie cenne przedmioty ze skrzydła kurlandzkiego, wallensteinowskiego i loaukowickowskiego, zostały przeniesione do piwnic. Zdjęto również kandelabry i żyrandole. Obrazy, umieszczone na specjalnych stelażach, ewakuowano do piwnic. Duże formaty płócien zostały wyjęte z ram, zakonserwowane i ułożone w ochronnych pokrowcach. Na piętrze skrzydła kurlandzkiego znajdują się jeszcze nie wielkie ilości płócien małego formatu. Poleciłm zapakunek książek. Jak tylko uzyskam odpowiednie środki transportu, skrzynie z książkami zostaną przewiezione do Kliczkowa. Proszę o ponowne rozważenie ewakuacji innych dzieł sztuki do Kliczkowa ewentualnie Borowiny, w Zaganiu brakuje miejsca. Superowałem w swoim czasie pałacyk myśliwski w Miodnicy...”

29 czerwca 1944 roku na specjalnie w Berlinie zorganizowanej naradzie spotkali się: dr. Graeger z Wydziału Samorządowego Prowincji Śląskiej, radca Den niger, reprezentujący pełnomocnika Talleyranda hrabiego Welzeck, dyrektor w departamencie ministerstwa spraw wewnętrznych Rzeszy dr. Fusch. Oczekiwano na przybycie ministra i szefa kancelarii Führera dra Lammersa. Na tym spotkaniu zanęsała ostateczna i nie odwracalna decyzja w sprawie lenna tronowego Zagań.



Gdy znalazł się w moim pokoju, usiadł i zapalił papierosa. Błyskawicznie rozebrał się do naga, stanął przed nim i spytał: kłopot?

— Odpowiada?

A gdy chciał mnie dotknąć, odepchnęłam go: — Najpierw forsa — zażądałam.

Zdał się, ale dał mi żadaną sumę. Nie był chybła złym człowiekiem. Gdy wstał, widać było, że trochę i wydawał się zawstydzony.

— Mogłabyś się chociaż uśmiechnąć.

Ale ja nie potrafiłam się śmiać, nacił się tylko nad nocnikiem i wymiotowała, chociaż on wcale nie był ani wstętny, ani mnie nie dreczył.

Nie obraził się, po chwili spytał mnie zmienionym głosem:

— To było dla ciebie takie okropne? Jeśli tak, to przepaszam.

Nie potrzebowałam jego współczucia, więc odpowiedziałam:

— Jak wystarczy, niech się pan wynosi do diabła, bo idę spać.

Ale on i tym razem nie rozgniewał się, może widział, w jakim okropnym stanie się znajdowałam. Dotknął tylko mojej ręki, wziął kapelusz, płaszcz i poszedł sobie. Nie był głupim człowiekiem.

Następnego dnia mogłam więc kupić sobie porządne pończochy, buty i kołnierzyk do sukienki. Miałam iść na służbę i myśleć, że do szczęścia wystarczyłoby mi własny kąt, jedzenie i dwa wolne wieczory w tygodniu.

O miejscach pracy, które załatwiał swym byłym wychowankom poprawczak, nie można było nie dobrze powiedzieć. Dziewczyny szły na służbę do rodzin, które liczyły na darmową służącą — zmuszały ją do niewolniczej harówki i okazywania głębokiej wdzięczności za swą rzekomą dobroć. Byłam jednak tak nieśmiała, a do tego wciąż przygnębiona, że nie przejmowałam się krzykiem i lamentami nowej gospodyni, tylko starałam się dobrze pracować i pilnować dzieci, gdy ona wychodziła. Nie domagałam się nawet należnych mi wolnych wieczorów.

Postanowiłam się uczyć szwedzkiego, zaczęłam już w poprawczaku mając nadzieję, że kiedyś uda mi się dostać posadę sprzedawczyni albo kelnerki w restauracji. Wtedy i teraz, na służbie, próbowałam się uczyć w wolnych chwilach. Któregoś wieczora, gdy moja pani wyszła do kina, pan przyszedł do kuchni, by nalać sobie wody do grogu i zastał mnie tam siedzącą nad podręcznikiem. Zaproponował mi pomoc w nauce, a ja nawet ucieczyłam się z tego, ale dość szybko się zorientował, jakie ma rzeczywiste zamiary.

Gdy zaprotestowałam, rzekł gniewnie:

— Co udajesz świętą, samczko? Przecież wiem, skąd przyszedłaś.

Kopnęłam go mocno i szarpnęłam głową uderzając go czołem w nos i usta, tak że musiał mnie puścić. Nie miał odwagi próbować od nowa, bojąc się powrotu żony.

Nie mogłam się nawet poskarżyć pani, bo ona wszystko zwałaby na mnie, jak to zwykle bywa. Co innego mogłaby w takim wypadku zrobić chcąc zachować spokój ducha? Od tamtego dnia jednak pan nie dawał mi spokoju, podniecał go widocznie bardzo, bo próbował wszelkich sposobów, by mnie zdobyć. Pewnego wieczora, gdy rozebrałam się już do snu, wszedł do kuchni, usiadł na brzegu łóżka i zaczął mnie obmacywać.

— Nie bądź głupia — mówił przy tym. — Jeszcze możesz mieć ze mnie pożytek. Jak będziesz chciała, mogę załatwić ci posadę w kuchni klubowej. Dadzą ci tam więcej wolnego czasu.

Nie jednak nie wskórał, więc zaczął mi grozić:

— Jeszcze ci kiedyś dostanę.

Być może tak działał na tego zmysły, że nie mógł się oprzeć pożądaniu. Nie mogło to dziwić, bo miał żonę starszą od siebie i wiecznie narzekającą. Pewnego dnia wcześniej wrócił do domu, chociaż uprzedził, że będzie późno, wdart się do kuchni i zapytał: czytrym uśmiechem:

— Mamo nie widziałas przypadkiem mojej srebrnej papierosnicy? Zostawiłem ją na biurku i zniknęła.

Nie miałam pojęcia, co się stało z jego papierosnicą, ale on mówił dalej:

— No to sprawdzimy. Trzeba być ostrożnym, jak się ma kogoś takiego w domu.

Wyciągnął spod mojego łóżka tekturowe pudło, w którym trzymałam z powodu braku walizki swoje rzeczy, i zaczął je otwierać.

— Proszę tego nie ruszać! — krzyknęłam, ale on nie zwracał uwagi na moje protesty i spod ubrania wygrzebał te papierosnice. Była srebrna i masywna. Zważył ją w dłoni i rzekł triumfalnie patrząc na mnie:

— To już sprawa policji. Idę po nich zadzwonić.

Zeszytywałam, poczułam przypływ siły.

— Pan mi to sam podrzucił! Pewnie wtedy, gdy wyszłam po mleko.

— No i co z tego? — spytał kpiąco. — Jak myślisz, komu uwierzysz, mnie czy tobie?

Potem złapał mnie za rękę i wypalił:

— Do cholery, dziewczyno, podniecasz mnie i nie spocznę, póki nie zrobię, co zechcę.

Patrzyłam mu prosto w oczy i wyczuwałam z nich, że jest gotów oddać mnie w ręce policji, żeby się zemścić za mój opór. Ale ja chłodno oceniałam sytuację, nie mogąc się nadziwić tej dziwnej sile, która potrafiła z porządnego i miłego człowieka zrobić takiego wariata. Zastanawiałam się, czy ta siła tkwiła we mnie, czy też w nim. Patrząc mu w oczy widziałam, że w tej walce, którą z mną prowadzi, nie ma miejsca na współczucie czy litość, nie ma żadnych praw ani zasad.

Skończyłam i zlapałam nóż kuchenny. Groząc nim zawołałam:

— Jeśli mnie pan ruszy, wbiję to panu w brzuch. Jak się tu zjawi policja, wiadomo, czym to się dla mnie skończy. Gdy pan zadzwoni po nich, zabiję! I przysięgam, że jeśli nie zdąży od razu, zemścę się, gdy mnie tylko policja wypuści!

Teraz on mi patrzył prosto w oczy i wiedział, że mówię poważnie. Nienawistnie z radością odparł:

— Wierzę ci, że to zrobisz, szalona dziewczyno.

Wziął papierosnicę i odwrócił się, by wyjść z kuchni, ale gdy tak stał z nożem w ręku, teraz przed chwilą przepelniona lekkiem, teraz nagle opadła z siły. Nie wiem, co się działo ze mną, ale nagle zrobiło mi się wszystko jedno i zrozumiałam, że nie ma sensu ujarzmić siły, która była silniejsza od człowieka. Nóż wypadł

mi z ręki, pobiegłam za nim, złapałam go za rękaw i jęknęłam:

— Proszę zostać.

Nigdy nie doświadczyłam takiej rozkoszy jak wtedy, gdy mnie wziął w ramiona i siłą położył się na mnie. Miałam wrażenie, że coś, co czuję w swym ciele, należy do wyjątkowych przeżyć, wiele kobiet pewnie umiera nigdy tego nie przeżywszy. Może to właśnie, bez udziału mojej woli, uczyniło ze mnie tę, którą się stałam. Musiałam o tym opowiedzieć, choć o takich rzeczach zazwyczaj się nie mówi.

Nazajutrz wymówiłam pracę. Jeśli te dwa tygodnie, które musiałam jeszcze spędzić w tym domu, były dla tego człowieka piekłem, to takim samym piekłem były one dla mnie. Miałam uczucie, że przede mną otwiera się otchłań. Pa trzymałam w nią czując zawrót głowy i w przerażeniu cofałam się przed jej skrajem. I w czasie jednej krótkiej chwili, która błysnęła w ciemnościach, przjrzałam się sobie i innym ludziom dokładniej niż w czasie lat spędzonych w poprawczaku.

Spróbowałam jeszcze raz, chociaż w głębi duszy czułam, że to na próżno. Chciałam uczucie zagrać wobec samej siebie, że próbuję, staram się. W następnym domu, gdzie służyłam, mieszkali także dwóch studentów i nie minęły dwa tygodnie, gdy gospodyni oświadczyła, że z powodu chłopców nie może mnie dłużej trzymać. Nic mi nie zarzucała, wydawało mi się, że uważa mnie za porządną dziewczynę, a ja pracowałam tak dobrze, jak umiałam. Nie miała żadnych zastrzeżeń do mojej pracy, ale nie mogła mnie zatrzymać i już. Trzeci raz nie próbowałam. Uwierzyłam w swe przeznaczenie.

Szłam przez miasto rozglądając się wokół, widziałam szerokie ulice, wielkie wystawy, z

## Sceny miłosne w literaturze pięknej

podejrzaną speluncę. Nie była wcale złą dziewczyną, po prostu żyła, jak chciała.

Nie byłam do niej wcale podobna. Nigdy nie dawałam mężczyznom ani odrobiny więcej, niż musiałam. Cieszyła mnie pewność, że oddaję się im tylko za pieniądze, a oni zdają sobie z tego sprawę, to poniżało bardziej ich niż mnie. I tak nigdy nie zmuszałam ich do okazywania autentycznych uczuć.

— Co ci jest, dziewczyno? — spytał mnie raz pewien gość. — Wszystko jedno, co z tobą robię, zawsze jesteś taka zimna.

Potrafiłam się właśnie tak zachowywać, chociaż każdą noc spędzałam z kimś innym, za pieniądze.

Miałam wygląd dziewczyny skromnej, nie-tniętej i małomównej. Gdy zaczęłam się zadować z facetami, we wszystkim podkreślałam tę pozorną niewinność. Ubierałam się skromnie, lekko malowałam usta i używałam wyszukanych wyrażeń unikając ordynarnych słów. Myślałam, że na pierwszy rzut oka nie różniłam się wcale od zwykłej dziewczyny z dobrego domu. W restauracjach i na zabawach one zachowywały się czasem o wiele gorzej ode mnie.

Włosy miałam jasne, a oczy zawsze tak niewinne, jak gdyby w moim życiu nigdy nie wydarzyło się nic złego ani nie plugawego nie splamiło mojej duszy. To złudzenie udawało mi się utrzymać bez trudu. Mężczyźni szybko mi się znudzi. Prawie wszyscy byli do siebie w

ale szybko okazało się, że to on głównie miał pożytek ze mnie. Zaczęliśmy się kłócić. Doku-chałam mu, jak tylko mogłam, bo na dodatek w łóżku był leniwy, brudny i odrażający. Z rozpaczy zaczęłam sprowadzać do domu gości, którzy za dnia spotykałam w parkach czy kawiarniach, i nie żądałam od nich pieniędzy, a nawet częstowałam papierosami i wódką, gdy mieli na to ochotę. Trudno wytłumaczyć, dlaczego to robiłam, ale czasem czułam okropną samotność i bałam się życia. Marzyłam o tym, by poznać ludzi, którzy by lubili moje ciało. Chciałam rozmawiać z innymi jak równy z równym i mieć poczucie wolności, robić to, na co miałam ochotę. Kończyło się to jednak zawsze kontaktem cielesnym, bo przecież był to najsmaczniejszy kasek, jaki mogłam zaproponować i co doceniali ci moi przypadkowi znajomi.

Inne dziewczyny uważały mnie za dziwaczkę, a stare baby nazywały mnie wariatką. Może byłam trochę szalona, ale sprawiło to poczucie przemijania czasu, lat, podczas gdy ja, jeszcze całkiem młoda, nie widziałam już przed sobą żadnej lepszej przyszłości, czułam w sobie jedynie mroczną pustkę. Ogarniała mnie czasem złość, krzyczałam na męża, a raz nawet pogroziłam mu nożem, aż zaczął mnie unikać i coraz częściej chodził własnymi drogami. Tym bardziej, że posprzeczał się także ze swymi kolegami po fachu, bo porządną taksówkarze mieli do niego pretensję o to, że psuje im opinię swymi praktykami. Większość z nich to byli porządni ludzie, tylko on stanowił wyjątek. Zaczął mówić o rozwodzie, mając pewnie nadzieję, że znajdzie spośród młodych dziewcząt weselszą i poslušniejszą ofiarę do swych celów.

Teraz muszę opowiedzieć, jak spotkałam Torstiego. Gdy czułam się samotnie, coś mnie pchało na ulicę. Zaczęłam się samotnie czekać na jakiś cud, na tę iskłę, która rozjaśni ciemność panującą w mojej duszy. Nie przezuwałam wcale, że coś takiego rzeczywiście może mi się przytrafić. Ale czasem zdarzają się cuda. Nie wiedziałam, jak to miało wyglądać, ale byłam pewna, że wystarczy iskra, by ciemność we mnie rozproszyła się. Ten ktoś, sprawa cudu, był z początku tylko zwyczajnym mężczyzną w ubraniu roboczym, stojącym o zmroku z papierosem w zębach na rogu ulicy. Na pierwszy rzut oka wydawał się przeciętnym człowiekiem, niczym się nie wyróżniał. Wracając do domu, zerknęłam na niego, ale zdążyłam przejść zaledwie kilka kroków, gdy jakaś siła kazała mi zawrócić.

Może w życiu innych kobiet też kiedyś błysnęła ta dziwna iskra. Na jej rozpalenie wystarczyło czasem jedno spojrzenie na twarz albo tylko zarys ramion i obraz ten utrwalał się na zawsze, powracając po latach wciąż na nowo. Większość kobiet idzie dalej nie mając nawet odwagi, by się odwrócić. Krepuje je obyczaj, lęk czy wstyd. Zapalona na moment iskra gasnie i taka chwila nigdy się już w życiu nie powtarza.

Mnie ani obyczaj, ani wstyd nie mógł powstrzymać. Byłam uodporniona na wszystko i przyzwyczajona robić to, na co mam ochotę. Odwróciłam głowę, zawróciłam, a serce zaczęło mi bić jak młotem. Popatrzyłam na niego w świetle latarni ulicznej i spostrzegłam, że właściwie nie było w nim nic, czym można by się zachwycić. Spotkałam w życiu wielu przystojniejszych i lepiej zbudowanych mężczyzn. On był nawet niższy ode mnie, blondyn o kancias-nej twarzy. Od nosa do kącików biegły mu głębokie bruzdy. Stał na rogu ulicy z rękami w kieszeniach, a z kącika ust zwisał mu papieros w drewnianej fice. Miał jasnoniebieskie oczy.

— Przepraszam, czy pan na coś czeka? — zagadnęłam go.

Usłyszawszy mój głos, zrobił zdziwioną minę i zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów. Wyjął z ust papierosa, by mi odpowiedzieć, spostrzegłam wtedy na jego palcu obrączkę. Popatrzyłam na niego bez uśmiechu, ja też pozostałam poważna.

— Miałem nadgodziny i umówiłem się tutaj o siódmej z kolegą — wyjaśnił. — Mielimy iść do sauny, ale siódma już minęła.

Gdy skończył mówić, wiedziałam, że mój los jest już przesądzony. Stałam poważna, gotowa nawet na śmierć, bo czułam się jak zwierzę, któremu żelazna kłapka potrzasku zaciska się na łapach. Nie umiałam sobie wyjaśnić tego uczucia. Tkwiło we mnie przekonanie, że ten młody człowiek musi do mnie należeć i za żadną cenę nie mogę go utracić. Wystarczył tylko dźwięk jego głosu, bym stała się zupełnie bezwolna.

— Zapraszam pana do siebie na coś do zjedzenia — zaproponowałam. — Mieszkam niedaleko.

Wlepił we mnie wzrok. — Nie... nie mogę — odparł z wahaniem.

— Ależ bardzo proszę — namawiałam, a on... poszedł ze mną. Takie to było proste.

W domu poczęstowałam go jedzeniem, mając cały czas myśli zajęte czym innym, nie zwracałam uwagi na balagan panujący wokół. Patrzyłam ciągle na niego, dziwiąc się, jak bardzo bliski może wydawać się ktoś zupełnie obcy. Nie wiem, co takiego znajomego w nim zobaczyłam, bo przecież nigdy przedtem go nie widziałam, a teraz zdążyliśmy zamienić ze sobą zaledwie kilka słów. Słowa stawały mi w gardle, a ręce drżały. Bałam się, że odepdź i już nigdy więcej go nie zobaczę. Poczęstowałam go alkoholem w nadziei, że gdy wypije, nie będzie się nigdzie spieszył. Ale on nie chciał pić, za to chętnie jadł, chociaż bez przesadnej elegancji. Gdy skończył, długo siedział w milczeniu i patrzył mi w oczy. Nie przejawiał żadnego leku ani nieśmiałości. Potem wstał, podszedł do mnie i kładąc mi ręce na ramionach, rzekł:

— Dziękuję za poczęstunek.

Nie powiedział nic więcej a ja przytuliłam się do niego, i w tym momencie zapaliła się we mnie iskra. Nie pamiętam, co się potem działo, wiem tylko, że gdy przywrócił do mnie, ciemność zasnęła mi oczyma i krzychałam w zapamiętaniu, gdy mnie pieścił. Z nikim nie było mi nigdy tak dobrze.

(CDN)

(Fragmenty prozy Miki Waltariego w przekładzie Joanny Trzcińskiej — Mejer przytaczamy za miesięcznikiem „Literatura na świecie” nr 2 z br.)

# ZŁOTOWŁOSA

Mika Waltari



Fot. ZDZISŁAW DADOS

pięknymi towarami, palące się wieczorami latarnie, świecące na czerwono i zielono wspaniałe neony. Pieniądz znowu wszędzie panował, obok sunęły samochody, słychać było grającą gdzieś muzykę. Co za pożytek mogłam mieć ze swej skromności. I tak się mną nie zainteresuje za den porządnym mężczyzną, gdy się dowie, kim jestem i skąd przyszedłam. A nie należałam do dziewczyn, którym proponują małżeństwo, gdy o to poproszą. Wspominając słowa ojca: „Czemu cię nie zabiłem?”, postanowiłam poddać się losowi i pozwolić, by moje życie staczało się aż do samego dna.

Łatwo trafić na złe towarzystwo, dobre trudniej jest znaleźć. Zaczęłam się włóczyć po budach tanecznych, aż zarobiłam na porządne stroje. Na razie wszystko grało. Zamieszkałam z pewną fajną dziewczyną. Miała telefon i, teoretycznie, także miejsce pracy, bo jednym z jej stałych klientów był jubiler, który w razie czego oświadczał, że ona jest u niego sprzedawczynią. Raz od jakiegoś pijanego kuśnierza, który nas zaciągnął na picie do swego magazynu, dostaliśmy kolierkę ze srebrzystego lisa.

Nawiazałam znajomości z taksówkarzami i portierami z restauracji, nie musiałam już chodzić po ulicach, tylko w domu czekałam na klientów. Moja koleżanka z pokoju nie miała żadnych wad prócz jednej — za dużo piła. Dlatego właśnie wzięła mnie do siebie, bym ją pilnowała. Sama nie brałam alkoholu do ust, chyba że z przysmaku i wtedy udawałam tylko pijaną, gdy zauważyłam, że mężczyźni tylko na to czekają. Ona często rano telefonowała, że- bym ją przyprowadziła do domu, bo jest tak pijana, że sama nie trafi.

Poza tym była wesółą i beztróską dziewczyną, z temperamentem, zawsze miała szeroki gest i przeważnie dobry humor. Mężczyźni ją lubili i z przyjemnością tracił pieniądze w jej towarzystwie, bo ona szczerze się z nimi bawiła i spała z ochotą.

— Czemu mam im żalować uciechy, gdy sama też to lubię? — mawiała. — Będę się bawiła tak długo, jak mogę.

Czekała ją prawdopodobnie szczęśliwe życie, bo jubiler ożenił się z nią, gdyby wyraziła na to zgodę, tacy są mężczyźni, ale ona wołała pić i dwa lata później zakłuto ją nożem w jakiejś





HELENA  
KORCZ  
(1914-1988)

## O SZTUCE TŁUMACZENIA

Jest prawdą chyba bezsporną, że można znać dobrze obcy język, a nie zawsze oznacza to, że przekład z tego języka na język ojczysty jest wierny i nie budzący zastrzeżeń od strony jego poprawności. Przekład może być wierny z punktu widzenia filologicznego, wsparty umiejętnościami korzystania ze słowników, ale to wcale nie oznacza, że będzie on oddawał ducha obcego języka, że będzie przekładem współczesnym. Z tego punktu widzenia tłumaczenie dzieł obcojęzycznych jest nie lada sztuką wymagającą nie tylko znajomości obcego języka, ale nieodzowne jest wysokiej klasy zjawstwo języka ojczystego ze wszystkimi jego subtelnościami, nie mówiąc o swoistej, również nieodzownej intuicji, pozwalającej uchwycić sens i ducha przekładanego tekstu i podłożenia go pod odpowiadający mu tekst polski.

Nie trzeba przypominać, że do wymienionych trudności dochodzą różnice w tłumaczeniu tekstów literackich i naukowych. Te ostatnie wymagają dodatkowych kwalifikacji wiążących się ze znajomością tej dyscypliny wiedzy, z której ma być dokonane tłumaczenie. Warto przy tym dodać, że dobre tłumaczenie spełnia niesłychanie doniosłą rolę społeczną. Przybliża przecież czytelnikom obcą literaturę, wzbogacając ich wiedzę o innym narodzie i poszerza ich horyzonty umysłowe.

Z niezbyt licznej grona tłumaczy z języka niemieckiego w naszym regionie, w dniu 17 czerwca 1988 r. odeszła na zawsze mgr Helena Korcz. Jej tłumaczenia, z których korzystali nasi regionaliści, są dowodem związku z przeszłością środkowego Nadodrza i na trwałe pozostaną w dorobku nad badaniami tej starej nadodrzańskiej ziemi, z którą H. Korcz wiązała się od października 1945 roku.

Posiadając dobrą znajomość języka niemieckiego, jako wykształcony historyk (ukończyła Uniwersytet Wrocławski) szybko zorientowała się, jak bardzo potrzebne są tłumaczenia niektórych podstawowych tekstów historycznej literatury niemieckiej, odnoszącej się do przeszłości wybranej przez siebie ziemi nadodrzańskiej. Prace przekładowe rozpoczęte już w 50-tych latach, przyniosły w ostatecznym rezultacie, po wielu latach, prowadzonych do ostatnich chwil życia, poważną ilość tłumaczeń.

Tak się jakoś dziwnie złożyło, że autorzy piszący o sprawach naszego regionu, a korzystający z tłumaczeń Heleny Korcz, nigdy nie uważali za stosowne wspomnieć o tłumaczu. Prawdę mówiąc, było to zgodne z jej charakterem, która swe liczne prace wykonywała w absolutnej cichoci, nie żądną jakiegokolwiek reklamy i rozgłosu. Pod tym względem skromność Heleny Korcz, niechęć do podejmowania konkurencji, nie wysuwania się do przodu, a raczej życie w cieniu — była szczególną cechą naszej tłumaczki. Była jej naturalnym sposobem bycia. O wiele ważniejsze stały się tłumaczenia, przynoszące

satisfakcję i przyjemność po rozwikłaniu napotykanego trudności.

Godzi się więc dziś, w imię wcale nie bagatelnych zasług położonych dla spraw naszego regionu, przypomnieć — gdy zamknęło się pracowite życie Heleny Korcz — o rezultatach jej wieloletniej pracy. Jednym z pierwszych, stanowiących podstawę źródłową opracowanych przez Władysława Korcz, „Procesów czarownic w Zielonej Górze w XVII wieku”, stało się tłumaczenie oryginalnego źródła rękopiśmiennego o niezwykle wysokim stopniu trudności, wynikającego z niemieckiej XVII wieku, pt. „Wyciąg z protokołów sądu zielonogórskiego i akt inkwizycyjnych procesów kryminalnych przeciw czarownicom w latach 1663, 1664, 1665”. Za tym pierwszym przekładem przyszedł wnet następny. Oto tytuły w brzmieniu polskim dokonanych tłumaczeń: „Historia miasta Koźuchowa” Karla Waltera, „Pomnik sztuki powiatu żarskiego i miasta Zasieki” Hansa Ericha Kubacha i Joachima Seegera, „Opis Marchii Brandenburskiej i margrabstwa Dolno-Lużyckiego w połowie XIX stulecia lub geograficzno-historyczno-statystyczny opis prowincji Brandenburskiej na polecenie ministra i nadprzydenta Flotwila opracowany przez Heinricha Berghausa” (III tom, fragmenty odnoszące się do Ziemi Lubuskiej), „Szlachta żagańska i jej dobra w r. 1474” Georga Stellera, „Furialne nagrobki śląskie” Paula Knoetla, „Historia śląskich epitafrów” Paula Knoetla, „Dolnośląskie doniesienia” — czasopismo Dolnośląskiego Towarzystwa Antropologicznego i Archeologicznego, XIII tom, 1-4 zeszyt 1914-1915, Gubin 1916, z drukami Alberta Koeniga, „Panowie lenni i właściciele gruntów i majątków w księstwie żagańskim (1400-1940)”, Georga Stellera, „Dzielnice chowice koło Żagania. Historia śląskiej wsi” Georga Stellera, „Kasztelania i miasta Żagań” Georga Stellera, „Symbolika biblijna”, z niemieckiego wydania Biblii z roku 1471, „Gubin” Erwina Steina, „Kronika G. A. Matthiasa”, dotycząca Krosna i dawnego księstwa krosńskiego, „Historia Zielonej Góry” Hugona Schmidta (fragmenty), „Z zielonogórskiej przeszłości” Augusta Förstera (fragmenty), „Historia Zielonej Góry od powstania do wprowadzenia reformacji” O. Wolffa (fragmenty), „Śląska żegluga od r. 1474” Konrada Wutke, „Źródła dzieł Polaków w Marchii Granicznej w latach 1919-1945” — tłumaczenie dokumentów. Była to jedyna książka, w której umieszczono nazwisko tłumaczki.

Są to tytuły najważniejszych przekładów, do których należałoby dodać tłumaczenia wielu artykułów z kalendarzy niemieckich i innych pomniejszych wydawnictw prasowych oraz tłumaczenia dokumentów źródłowych dotyczących uprawy winorośli w Zielonej Górze.

Zachowajmy więc wdzięcznej pamięci udział Heleny Korcz w życiu kulturalnym i społecznym naszego regionu, bo w pełni on na to zasługuje.

J.H.W.

Każda nowa publikacja Mariana Podkowińskiego, wybitnego publicysty i dziennikarza wzbudza zawsze poważny rezonans społeczny i zawiera duży ładunek historycznej refleksji. I tak rzecz się ma w przypadku wydanej niedawno książki (zbiór felietonów i esejów) pt. „Róże dla Kaina”. Są to rozważania pozostające w ścisłym związku z historią Niemiec a w szczególności III Rzeszy niemieckiej i jej wodzą Adolfa Hitlera. Podkowiński po raz kolejny dokonuje krytycznego rozrachunku z faszyzmem niemieckim.

Marian Podkowiński opublikował dotychczas kilkanaście książek poświęconych problematyce historii najnowszej Niemiec oraz stosunków polsko-niemieckich. Są to m.in. następujące prace: „Czwarta Rzesza rośnie” (1948), „Pierścień kardynała” (1955), „Na ostrzu noża” (1960), „Czekanie na Straussa” (1967 r.), „Niemcy i ja” (1972), „W kręgu Hitlera” (1975), „Moje spotkania z NRD” (1977), „Gdyby Polska nie była uparta” (1973), „Między Renem a Łabą” (1979), „Od Adolfa Hitlera do Adolfa von Thadden” (1969).

M. Podkowiński urodził się w 1912 r. w Wilnie. W 1936 roku ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Do wybuchu wojny działalność publicystyczną i literacką uprawiał na łamach „Czerwonej Warszawy”, „Szpilek”, „Tygodnika Ilustrowanego” i „Kuriera Porannego”. W okresie wojny — uczestnik ruchu oporu żołnierz Powstania Warszawskiego. W październiku 1945 roku jako korespondent PAP, „Dziennika Polskiego” oraz „Przekroju” wyjechał do Norymbergi na proces głównych zbrodniarzy III Rzeszy. Następnie jako korespondent „Robotnika” i „Trybuny Ludu” przebywał wiele lat w NRD i RFN oraz w Paryżu i Waszyngtonie.

Warto również odnotować pracę M. Podkowińskiego jako sprawozdawcy prasowego. W takim charakterze brał m.in. udział w spotkaniach Wielkiej Czwórki — w Paryżu, Londynie, Berlinie i Genewie. Wieloletni sprawozdawca w ONZ, uczestnik i organizator międzynarodowych spotkań dziennikarskich w Jablońcu pod Warszawą. Jest ponadto współzałożycielem Polskiego Klubu Publicystów Międzynarodowych, a w latach 1959-1961 był jego pierwszym prezesem. M. Podkowiński gościł kilkakrotnie w naszym regionie biorąc udział w sesjach PKPM w Zielonej Górze i Żaganiu.

W najnowszej książce M. Podkowiński pomieścił 24 szkice. Dotyczą one m.in. takich problemów jak: bilans zwycięstwa w 1945 r., proces w Norymberdze, układ ze Zgorzelca o uznaniu granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej za granicę państwową między PRL a NRD wysiedlenie Niemców a pokój w Europie. Kilka innych szkiców wiąże się ściśle z historią III Rzeszy i przyczynami jej narodzin. Autor rozważa te zagadnienia w



## Rozrachunek z Trzecią Rzeszą

szkicach pt. „Gdy przyszedł Hitler”, „Jądro brunatnej ciemności”, „Prusy bez legendy”. Inna jeszcze grupa szkiców wiąże się z problemami partytologii Żydów („Holocaust i co dalej?”) oraz rewizjonistycznymi tendencjami w RFN (szkice o skandalu w Bittburgu — „Róże dla Kaina”).

Wkład Polaków w dzieło zwycięstwa nad faszyzmem jest dowodem naszego narodowego heroizmu. M. Podkowiński tak ocenia ten fakt: „Drugą drogą do tego, jakże pełna ofiar, poświęceń i bohaterstwa. Trzeba było polskiego uporu i wytrwałości, aby bez mała sześć lat wojny wytrzymać na wszystkich frontach drugiej wojny światowej w pełnej świadomości, że Wrzesień to był dopiero początek naszej drogi na Berlin”. Maj 1945 r. — Podkowiński miał możliwość obejrzenia bunkra Hitlera w Berlinie: „Wychodząc z Hitlerowskiego Hadesu na świeże powietrze, spojrziałem na Berlin innymi oczami. Potworna twarz brunatnego faszyzmu znalazła odbicie w ruinach tego miasta...”. Po brunatnej nocy nastał jasny dzień. Rodziły się nowe Niemcy.

Szerzej uwag poświęca w książce autor wiodzowi Tysiącletniej Rzeszy, jego

psychologicznej i intelektualnej sylwetce. Młodzieńcze lata Hitlera, to fantom powstały ze skrzyżowania uroku germańskich mitów i maniackich wizji Niemiec. Według M. Podkowińskiego: „Hitler był w gruncie rzeczy samotnikiem, którego chorobliwa wyobraźnia pelzała na obrzeżach sennych marzeń, czerpiąc pożywkę intelektualną z lektur pochłanianych na przytułkowej przyczółku”. August Kubicki, kompan z lat młodzieńczych Hitlera, stwierdził po latach, że „wprost pożerał on książki, które rzadko kto już czytał”. Były to m.in. dzieła Paula de Lagarde, Heinricha Clajsa, Heinricha Treitschke, oraz Moellera van den Brucka.

Hitler śnił o Tysiącletniej Rzeszy. Przetwarła ona zaledwie dwanaście lat i zakończyła się Apokalipsą. Zmierzchem Bogów. Drobnomieszczaństwo, które jeździło sobie faszysty i wykorzystali dla szaleńczych planów musiało w 1945 r. zdać przed sobą historyczny rozrachunek z niedawną przeszłością. Jego intelektualny kosmos możemy odnaleźć w znakomitej pracy Georga L. Mosse pt. „Kryzys ideologii niemieckiej” opublikowanej w 1972 r. w języku polskim przez wydawnictwo „Czytelnik”. Zdaniem autora tej książki prekursorem narodowego socjalizmu był ruch wolkistowski. Nie naród, lecz Volk zajął czołowe miejsce na faszystowskim piedestale. Państwo określano jako „współnotę ludową”. Mit wroga zamienił się w chorobliwą obsesję.

Nie znalazło się w tej wspólnoty miejsce ani dla Żydów, ani dla Słowian, ani dla komunistów i socjaldemokratów. Stąd powstał plan ich eksterminacji. I wiodzowie Rzeszy nakazali tworzyć obozy koncentracyjne. Zadykowały pieczę w Oświęcimiu, Treblince, Dachau i Majdanku. „Ludzie ludzom zgrywali ten los” — jak napisała w „Medalionach” Zofia Nałkowska. A Marian Podkowiński po obejrzeniu serialu telewizyjnego „Holocaust” (Zagłada) stwierdził: „Film Holocaust przeraził przede wszystkim młodzież”. Są jeszcze nadal w RFN ludzie, którym zależy na fałszowaniu historii Niemiec po 1918 r. Ale historii nie można oszukać. I taką maksymę wyznaje również M. Podkowiński.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Marian Podkowiński: Róże dla Kaina. W kręgu niemieckiej historii. Warszawa 1988 r. Stron 256. Nakład 20 000 egz. Cena 420.—



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ



## UCIECZKA

„Lubsko. 3 maja 1988 roku w Lubsku przy ulicy Norwida, w piwnicy znaleziono zwłoki Edwarda K. lat 20, ucznia I klasy Technikum Energetycznego we Wrocławiu, zamieszkałego w Lubsku. Ustalono, że wymieniony w dniu 27 kwietnia 1988 roku z nieustalonych dotąd powodów popełnił samobójstwo przez powieszenie się”.

Dni tracą kontury, a wydarzenia zasługujące niegdyś na miano pierwszoplanowych, dzisiaj zacierają, stając się jedynie elementem tła. Przestaliśmy spostrzegać rozjechanego psa, pijanego szesnastolatka i nieczyściwości wysypujące się ze zrypu Staliny się obojętni tracąc po drodze to, co zwykło się nazywać wrażliwością, a przysłówowa „znieczulica” stała się gwoździem szpalt każdej gazety.

„Wolność Tomku w swoim domku”, nieznajomy sąsiad vis a vis, twarz przyklejona do szyby w deszczowe popołudnie. Zabarykadowani w mieszkaniach zbrojonych w telewizor, komplet garnków i zestaw „kochadelek” w postaci ratlerka lub fotografii wodza, który dawno już przeminał, piśmicy ściany.

„Krosno Odrzańskie. 9 maja 1988 roku ok. godz. 18.40 w Krosnie Odrzańskim przy ulicy Grobla z okna na II piętrze wyskoczył w celu samobójczym 18-letni Krzysztof P. Przyczyn nie ustalono”.

Dla nich każdy dzień jest jeszcze pytaniem, na które szukają odpowiedzi, a nie jedynie garścią godzin śpiących kłamrą ranka i wieczora. Jednak ta ciekawość kruszy się w starciu z pogonią za małym litrazem i ciuchem z Pewexu. Bardzo szybko sami włączają się do wyścigu z „urządzeniem”, zamiast mety Ju 12, 13-latkowie cierpią na klasyczny syndrom chęciństwa — „Ta to dać dolary”, a nie potrafią nawet w przybliżeniu zdefiniować dobra i zła (zresztą, czy my to potrafimy?). Ci, którzy postawili na określony „autorytet” trafiają do zakładów wychowawczych i milicyjnych Izb Dziecka, inni ze zblazowanym wyrazem twarzy i w elastycznym dresie z kolorowym napisem czekają na bilet do

Sydney lub siedzą w twierdzy wzniesionej przez rodziców, albo też uciekają negując wszystkich i wszystko — mięso na kartki i placzącą nocami matkę.

„Staratem się wyobrazić swoją śmierć. Rozpacziły krzyk siostry, okryta czernią matkę i mowę przemądrzałego polonisty nad moim grobem. Napisałem pożegnalne listy do wszystkich znajomych i siedząc nad nimi wzruszyłem się do łez. Rano ustawałem i szedłem do szkoły. Gdy sięgnąłem po żyletki wiedziałem, że chcę żyć, lecz zabrakło już tak daleko...”

„Chciałbym się w kimś bezgranicznie zakochać. Wiek i płeć nieważne”. Jednak brak jest obiektu dla tak desperackiego uczucia. Sikający na scenie rockowy idol, sportowiec zawieszony za stosowanie środków dopingujących, pijany ojciec i nauczyciel zarabiający na kolonijnych „dietach” i na dodatek ten świat kolorowych filmów, plaż, ekskluzywnych hoteli, gdzie w WC nie widać równo przycięte gazety. I tak uciekają. Uciekają nie tylko za granicę — uciekają w światy wymaginowane między zamknięciem oczu i zaśnięciem, stanowiąc nie tylko miejsce azylu, lecz z czasem stając się sposobem na życie.

„Żagań. 22 kwietnia 1988 roku w godzinach wieczornych w ogródku przy ul. Przyjaciół Zaliczera popełnił samobójstwo przez powieszenie się 25-letni Marek W.”.

Aktywność, społeczeństwo, naród, ZSMP, ZHP — dla nich to tylko skróty, elementy pierwszoplanowego pochodu lub uroczystego capstrzyku. Co prawda, minęły czasy czerwonych krawatów wstydliwie ubieranych w WC, jednak niektórzy nosząc legitymacje wysoce zaangażowanych organizacji, za składki i zebrania kupując sobie święty spokój. Mówią o sobie „przegry” a przecież właściwie tej gry nawet nie zaczęli.

„Lubsko. 18 czerwca 1988 roku w miejscowości Jabłonna gm. Jasień w stodole znaleziono zwłoki powieszzonego Tadeusza J. lat 25, członka ZSMP. Przyczyn zamachu samobójczego nie ustalono”.

To nie gospodarczy kryzys (przynajmniej nie tylko on) rzeźbi nastrojnych oprychów, ćwiekami nabija czarne skóry i z pastiszem modlitwy nakazuje składać ofiarę z żywego psa. To pustka, gdyż ten rój mydlanych baniek, które nazywamy ideami przemija zanim jeszcze zdąży je zaaprobować i nie może zaspokoić głodu. Bo ludzie, których chciałoby się kochać noszą maski skrywające intelektualną wydmuszkę zaplataną w grę gestów i słów bez znaczenia. A oni są przez cały czas głodni — głodni idei, głodni autorytetu, głodni odpowiedzi na kolaczące w głowie pytania. Ludzie „dojrzały” zajęci swoimi sprawami idą dalej sądząc, że każdy powinien radzić sobie sam. Więc radzą sobie sami.

DARIUSZ CHAJEWSKI



## Z TEKI PROKURATORA

Prokuratura Wojewódzka w Zielonej Górze wspólnie z Wojewódzką Komisją ds. Przeciwdziałania Alkoholizmowi przeprowadziła w I kwartale br. kontrolę przestrzegania przepisów Ustawy z dnia 26 października 1982 r. „O wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi” (Dz.U. nr 35 poz. 230 z późniejszymi zmianami) oraz wy danych na jej podstawie przepisów wykonawczych. Kontrolą objęto 11 jedno stek gospodarki uspołecznionej oraz pod dano analizę 25 terenowych komisji przeciwdziałania alkoholizmowi.

Stwierdzono, że w wielu zakładach pracy nie prowadzi się kontroli i nie przestrzega przepisów pracowników, je śli zaś dochodzi do naruszenia przepi sów, nie dokumentuje się takich fak tów zgodnie z wymogami Ustawy. Pro kuratura stoi na stanowisku, że jest to naruszenie wytycznych nr 76 Mini stra Pracy, Placy i Spraw Socjalnych z 16 grudnia 1983 r. w sprawie zapewnienia przestrzegania obowiązku trzeź wości w pracy. Nie we wszystkich za kładach zorganizowano depozyt alkoholu przejętego od pracowników, którzy wnieśli go lub też spożyli w miejs cu pracy czego wymagają przepisy roz porządzenia MSW z dnia 11 maja 1983 roku. Przedstawione uchybienia stwier dzone zwłaszcza: w Oddziale I w Zie lonej Górze i w Sulechowskim Oddzia le Spółdzielni Transportu Wiejskiego; w Przedsiębiorstwie Przemysłu Beto nów „Prefab” w Powodowie; w Przedsiębiorstwie Elektryfikacji i Tech nicznej Obsługi Rolnictwa „Eltor” w

Zielonej Górze i w Fabryce Maszyn i Urządzeń Gastronomicznych „Kromet — Spomaz” w Krośnie Odrzańskim. W związku z tym Prokuratura Woje wódzka wystąpiła z odpowiednimi wnio skami do przewodniczącego Rady Nad zorczej STW i dyrekcji wspomnianych przedsiębiorstw. Nie ma miejsca na alkohol w zakładach pracy!

Krytycznie oceniono też działalność terenowych komisji ds. przeciwdzia łania alkoholizmowi. Dotychczas nie ma prawidłowości w funkcjonowaniu komi sji w Kozuchowie Nowej Soli, Siedlis ku, Ślawie, Kolsku, Bytomiu Odr., No wym Miasteczku, Otyniu, Zaganiu Brzeźnicy, Niegostawicach, Małomicach, Ilowej Zag. Komisje te opieszałe, lub też w ogóle nie rozpatrują wniosków o leczenie przeciwalkoholowe. Np. komi sja w Kozuchowie nie rozpatrzyła żadnego z 50 takich wniosków jakie wpłynęły w 1987 r., opóźnienia w ich załatwianiu zaś przekraczają pół roku. Poważne zastrzeżenia wywołuje zniko ma działalność profilaktyczna komisji, która powinna polegać na kontroli prze strzegania w zakładach pracy ustawy antyalkoholowej, na udzielaniu pomo cy rodzinom alkoholików, współpracy z organizacjami i instytucjami zajmu jącymi się zwalczaniem alkoholizmu.

Tolerancja i brak aktywności w wal ce z alkoholizmem prowadzi często do ekstremalnych wydarzeń. W lipcu br. w Wolsztynie stwierdzono zgon 11-mie-

sięczonego Piotra P. W czasie oględzin zwłok dziecka lekarze ujawnili objawy znacznego wychudzenia ciała, ogólną anemię, oraz znaczną krzywicę. We wstę pnej diagnozie stwierdzono, że aczkol wiek zgon był następstwem przewle kłych i zapalnych zmian oskrzeli i mia szu płucznego, co spowodowało niewy dołność układu krążenia z przecięż nieciem prawej komory serca, to należy go wiązać z zupełnym brakiem opieki ze strony rodziców. Ze wstępnych usta leń wynika, że rodzice, a zwłaszcza oj cieć wieloletniej rodziny (siedmiorgo dzieci), są namiętnymi alkoholikami. Postępowanie przygotowawcze w tej sprawie prowadzi prokurator rejonowy w Wolsztynie, który sprawą właściwej opieki nad pozostałymi dziećmi zaiste resował Sąd Rodzinny i Opiekunicy.

W innym przypadku nieodczłonię cię zakończyła się interwencja funkcyj naryszy MO wobec mieszkańca Zagania S.K. Zostali oni wezwani w związku ze znaczeniem się przezeń nad żoną i dzie ciem. W trakcie interwencji pijany S.K. zaatakował milicjantów metalowym ta borettem, później zaś, przykładając nóż do płeców swej 1-roczonej córki i gro żąc jej zabójstwem, zmusił ich do od stąpienia od wykonywania czynności służbowych, tj. zatrzymania go. Proku rator rejonowy w Zaganiu wobec nig dzie nie pracującego i notorycznie nad używającego alkoholu S.K. zastosował areszt tymczasowy oraz wystąpił do Sądu Rodzinnego o wszczęcie postępow aia opiekuńczego nad dziećmi.

LEX

## Wódko, daj żyć



### Dni Zielonej Góry

Tradycji staje się zażość. W tym ro ku Dni Zielonej Góry trwać będą od 15 września i zakończą się 30 września. Niewątpliwą ozdobą i wzbogaceniem programu Dni będzie mający już tak że piękne tradycje w naszym grodzie sympatycznie przyjmowany przez zie lonogórzan Międzynarodowy Festiwal Zespołów Pieśni i Tańca w dniach 12-18 września (uczestnicy Festiwalu weź mą oczywiście udział w Korowodzie Winobranowym). Nie zabraknie także innych, atrakcyjnych imprez: od 9 do 18 września na deptaku miejskim od bywać się będą II Ogólnopolskie Wi nobranowe Targi Kolekcjonerskie, zaś od 11 września w tym samym miejscu będzie można uczestniczyć w Jarmar ku Winobranowym. Miłośników do brej muzyki i tańca może zaintereso wać VI już Turniej Tańca Towarzys kiego. Od 10 do 30 września w BWA gościć będziemy wystawę pokonkurso wą „Wenus '86”. Wśród wielu innych imprez, o których informować będą odrębne programy, anonsujemy jesz cze: III Miejskie Bachanalia Fantastyko-Naukowe, w obrębie starówki wystawę: dzieł twórców ludowych, kwiatów i plodów rolnych zielonogór skich działkowców, 16 i 17 września w Palmiarni specjalne bale winobra niowe. Życzymy wesołej zabawy!

### Referendum w Ślubicach

Decyzja Miejsko-Gminnej Rady Na rodowej w Ślubicach podjęta na uro czystej sesji z okazji święta Odrodze nia odbiła się głośnie echem w kraju. Oto o przeznaczeniu i wykorzystaniu kwoty ponad 50 milionów zł uzyska nych za zwycięstwo w konkursie „Mi strz Gospodarności” zdecydować mają w specjalnym referendum sami miesz kańcy tego nadgranicznego miasta i gminy, których budżet na rok bieżący wynosi niewiele ponad 550 mln. zł. Ta dodatkowa kwota nieco go powiększa. I tutaj, podobnie jak wszędzie — na pieniądze czeka oświata, służba zdra wo, kultura, sport, gospodarka komu nalna. Jest się więc nad czym zastą nawać i demokratycznie zdecydować.

### 45-lecie LWP

Rozpoczęły się obchody 45 rocznicy powstania ludowego Wojska Polskiego. Z tej okazji na jednym z poligonów odbyło się spotkanie kadry żołnierzy Gubińskiego Pułku Czołgów im. Niemieckich Bojowników Antyfaszystows kich z kombatanami, przedstawicielami władz partyjno-administracyjnych i społeczeństwa. Goście obejrze li pokaz sprawności czołgistów i nowoczes ny sprzęt, w jaki wyposażony jest pułk czołgów.

### Lato z plastyką

Bez przerwy urlopowej pracowała ak tywnie sekcja plastyki amatorskiej Lu buskiego Towarzystwa Kultury. Min. urządzono w salonie wystawowym Wo jewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Pub licznej w Zielonej Górze wystawę prac plastyków z Okręgu Cottbus. Obrazy, wykonane w różnych technikach, eks ponowali: Bernd Gork, Bernd Winkler, Gabriele Klose i Andreas Klose. W klu bie Stronnictwa Demokratycznego mo żna było natomiast obejrzeć obrazy o lejne i tempery oraz akwarele Wikt ora Czyżewskiego, który obecnie mie szka w Gorzowie, ale wcześniej był ak

tywnym członkiem sekcji plastyki LTK. Również z inicjatywy tej sekcji w zie lonogórskim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki urządzono wystawę prac Zbigniewa Jaraczewskiego, leka rza medycyny, mieszkającego w Torzy niu. Uprawia on malarstwo olejne, akwarele i rysunek.

Natomiast w Jasieniu odbył się in teresujący plener malarstwa z udziałem 20 plastyków amatorów — członków sekcji LTK, 4 z NRD (członków Kultur bundu) oraz 2 plastyków z Kujawsko-Dobrzyńskiego Towarzystwa Kultury. Organizatorem pleneru było Jasieńskie Towarzystwo Kultury oraz miejscowy „Zremb”.

### Reggae w Gorzowie

Już po raz trzeci odbył się w Go rzowie Krajowy Przegląd Muzyki Reggae. Dwudniowa impreza zorganizowa na staraniem WDK, agencji „Amfite atr” i poznańskiej spółki „Uni Art” pod artystycznym kierownictwem red. Krzysztofa Wodnicka zgromadziła w gorzowskim amfiteatrze liczne zespoły uprawiające tę „kolyszącą muzykę”, m.in. „Daab”, „Dżem”, „Introdukcja”, „Veda”, „Protest and Edukacja”, rze szce gorzowian oraz przybyłych specja listów z okazji fanów. Oceny są na ogół zgodne: była to impreza ze wszech miar udana i jak twierdzą dobrze po informowani, nie tylko jej organiza torzy, ma ona szansę „osiąść na stałe” w Gorzowie, zyskać zasobnego spon sora i międzynarodowy charakter — czego naszym sąsiadom z północy bez zawiści życzymy.

### Takie inicjatywy popieramy

Oryginalne i pozytywne inicjatywy zawsze popieramy, zwłaszcza gdy do tyczą społecznego ruchu regionalnego. Tak więc chętnie informujemy, iż w lecie Brodzkie Towarzystwo Kultury zorganizowało dwie bezpłatne zabawy, osiągając zysk w wysokości po nad 100 tys. zł. Tę kwotę będzie moż na przeznaczyć na działalność na rzecz upowszechniania i rozwoju kultury w gminie.

Natomiast klub literacki, działający przy LTK, wydrukował ładny afisz poetycki opracowany graficznie przez Irenę Bierwinczonek-Polak. Swoje wiersze prezentują: Anita Simonjet, Do rota Muszyńska, Robert Gromadzki, Artur Bakoś, Anna Kwapisiewicz, Jerzy Cz. Przybecki, Ryszard Jonacki i Kalkist Kucharski. Pewną wyjątkowość ma ten afisz, niech będzie dobrą prognozą dalszego rozwoju talentów poe tycznych młodych zielonogórskich twórców.

### Sukces zespołu ze Złotnika

Na XXV jubileuszowym Tygodniu Kultury Beskidzkiej w Zywcu popu larny Zespół Górali Czadeckich ze Złot nika występujący pośród licznych ze społów artystycznych z południowej Polski i z zagranicy zdobył wysokie na grody: „Srebrne serce” (zespół śpiewa czy) i „Brazowe serce” (kapela). Gra tulujemy!

### Będzie nowy hotel

Po wieloletnich staraniach (i prze ga mionych okazjach) o budowę lub rozb udownie jednego z przysiółków hotelu w Zielonej Górze, którego potrzeby nie trzeba tutaj uzasadniać — sprawa ru szyla z miejsca. Zakończył się Przed sięwzięcie Budownictwa Lekkiego, zna ne z budowy nowoczesnego hotelu w Nowosybirsku — przystąpiło już do prac ziemnych w pobliżu hotelu „Po lan”. Nowa część hotelu (bo będzie to jednak rozbudowa) obliczona na 450 miejsc hotelowych i 850 gastronomicz nych ma być gotowa za 4 lata. Tempo iście syberyjskie. Jest to więc zapis hi storyczny.

### Zaprosili nas

Dyrekcja i zespół Teatru Lubuskie go im. Leona Kruczkowskiego na pre mierę „Szkłanej menażerii” T. William sa w reżyserii Krzysztofa Rotnickiego; dyrekcja i grono pedagogiczne Liceum Lotniczego w Zielonej Górze na uro czystość nadania szkole imienia kpt. pil. Eugeniusza Korbaczewskiego; BWA w Gorzowie na otwarcie wystawy ma larstwa Bernarda Lewandowskiego i zwiedzenie wystawy fotografii pt. „Kraj obrazy świata”. Dziękujemy.



DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTU RALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWA RZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-002 Zielona Góra, pl Bohaterów Stalingradu 13, i p. oraz adres dla korespondencji: 65-003 Zielona Góra, skrytka pocztowa 61. Telefon: redakcja naczelny i sekretariat 208 35 sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 45 61 do 1. fax: te lefony wewnętrzne 208 35. Redakcja: zespół H. Anka-Skarbek, Leszek Hier manowicz (red. graf. tech.), Janusz Koniusz, (red. naczelny), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelny), Wiesław Nodzyński (sekretarz)

Zam. 809 Z-20

„NADODRZE” 4. IX — 17. IX. 1988; ROK XXXII; NR 18 (875)

## MoRGINAki

WYTRYSK ZŁOCI. Bohdan Drozdowski w 93 odcinku serialu „Klin” („Sprawy i Ludzie” nr 32) tym razem wylął z sie bie tonę złoci — pretensji do świata i ludzi. Wspominając swoje redagowanie miesięcznika „Poezja” wyznaje m.in.: „Zawsze, odkąd postępuję się maszyną do pisania, stawiałem za pluralizmem, zawsze stawiałem na wartości abstrahu jące od układów i przynależności i bez obawy o podpadnięcie komukolwiek, przeto musiałem podpaść wszystkim...”. Istotnie, B. Drozdowski był zawsze za pluralizmem i tolerancją, dlatego zapew ne jego dawny przeciwnik, nieżyjący już poeta Stanisław Grochowiak musiał opuścić redakcję „Poezji” i przenieść się do „Miesięcznika Literackiego”, gdzie 1-2 całą tę osobliwą „przysiaż” opisał... ZIELONA GÓRA A JAROCIN. W tym samym numerze wrocławskiego tygod nika Klaus Kowalski relacjonuje przebieg tegorocznego festiwalu muzyki rok kowej w Jarocinie. Ostatni włos z prze rażenia na głowie się języ! Ale jest w tej relacji i ciekawostka, którą warto przytoczyć: „Mamy wyjście na świat, ale nie mamy muzyki. Zachodni producenci i menedżerowie słuchają nagran naszych zespołów z uśmiechem politowania. Ta kąż muzykę grano tam 6-8 lat temu. Oba wiam się, że pod względem artystycz nym nawet festiwal w Zielonej Górze jest ciekawszy i bardziej progresywny od festiwalu w Jarocinie, oczywiście to swoim gatunkowi muzycznemu”. Komplet ment to, czy ironia?

ZNAD MORZA. Takim tytułem opatrzył swój komentarz Ludwik Kraskiewicz, opub likowany na łamach bydgoskich „Fak tów” (nr 33). Autor był na wczasach w Kołobrzegu, który „...jest czysty, zadba ny, zorganizowany pod kątem zaspoko jenia minimum potrzeb suchych gości urlopowych”. Krzywy to jednak chyba kat, gdyż „Kłosa” dał ułanu wypłynięcia gro blę wody mineralnej i sodejowej. Na runku brakuje sera białego i żółtego albo obu „człowiek naraz. Informacjom, że nie ma krzyżu cukrowego przece ża sytuację raz po raz powstające w skle-

pach. Kolejne weekendy, nie licząc świąt, czynią prywatne zaopatrzenie turystów problemem pochłaniającym godziny wy poczynku całych rodzin. Polki z obu wiosem, odzież, artykułami sportowymi mimo braku atrakcyjnych towarów pustoszą w mginięciu oka. Dla odprężenia można przylgnąć się do obiektu, z którego remontem lub oddaniem do użytku znów nie zają zono na sezon”. Dobrze, że choć można popatrzeć „dla odprężenia” i... poczytać Ludwika Kraskiewicza dialek tycznie sprzeczne opinie pouropowe.

GORZOWSKI PUNKT ZACIEPIENIA. Ryszard Giedroń nie po raz pierwszy ujawnia swoją sympatię do Gorzowa. W nr 33 „Faktów” w felietonie z cyklu „Manowce” pisze o tym, jak można za rabiać pieniądze „Gdyby natrafiono na jakieś formalne utrudnienia, to zawsze można powołać spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, która całe to przed sięwzięcie szybko i tanio przepuści przez swoją księgowość. Dla spółki punktem zaczepienia może być również dobrze amfiteatr jak i salon meblowy, chciło wo oferujący tylko „Prusakolep” i anten ny satelitarne krakowskiej Spółdzielni Pracy „Mechanika”. Po gotowe wzory winien ze stolicy pociągnąć pociąg spe cjalny do Gorzowa Wielkopolskiego, gdzie w amfiteatrze miejskim działa agencja Impresaryjno-Reklamowa, oczy wiście na zasadzie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. W dniach 13-14 sierpnia firma ta organizuje dla melo tów festiwal „Reggae nad Wartą”. W Warszawie cagle odległym stoi przelaw ny Stadion X-lecia, a każda próba oży wienia tego obiektu kończy się mniej szym lub większym skandalem finanso wym. Stadion jest, co tu ukrywać, zdecy dowanie większy od wspomnianego amfiteatru, ale i stolica w porównaniu z Gorzowem ciągle jeszcze wypadła ko rzystniej”. Jeszcze trochę, a redaktor Giedroń zamieszka w Gorzowie i może nawet przystąpi do tak pochylnie oce nianej spółki.

LENISTWO I DRESZCZE. Marek Arpad Kowalski opublikował na łamach „Prze glądu Tygodniowego” (nr 33) rozmowę z Krystyną Mazurówną — tancerką i cho reografką. Artystka po oświadczeniu, że „...jest leniwa”, następnie konstatuje: „Miejskiem klasy baletu jest to, czy publiczności przebiegają dreszcze po

plecach czy nie, i jak silne są te dresz ce”. Dreszcze grozy czy wzruszenia? ZAKŁĘCIA SZAMANÓW. W tym sa mym numerze „Przeglądu Tygodniowe go” Marek Arpad Kowalski, w felieto nie „Zaklęcia szamanów” zajmuje się polskim filmem i krytyką filmową, pi sząc m.in.: „Szamanizm (zaklęcia słowa mi — nasz przyp.) ów ze sportu przeje łła kinematografia. W Lagunie mówiono, że słabej frekwencji na filmach rodzi me produkcji nie są winni reżyserzy, którzy wykonują mało widowiskowe filmy, lecz publiczność stumaniłona za granicznymi wyrobami, które — z wy jątkami — dalekie są od sztucznego i ambicji”. Na co, jak na co, ale na brak ambicji nigdy nie narzekaliśmy. W La gunie mówiono wręcz.

KUNCIEWICZ I PANNA SYNGILU. Piotr Kunciewicz w 247 odcinku swych gawęd o polskiej literaturze („Przegląd Tygodniowy” nr 33) zajął się twórczo ścią Jacka Bocheńskiego, pisząc m.in. o książce pt. „Pożegnanie z panną Syngi lu” — zbiorze reportaży z podróży do Afryki. „Tytułowa panna Syngilu — pi sze P. Kunciewicz — to sudańska ste wardesa, Mary Syngilu, symbol ciennej kobiety. Notabene w wojach afrykań skich Polaków ciemnoskóra dziewczyna jest z reguły jedynym z najpiękniej zwi ędzanych obiektów. Wiem, bo sam byłem...”. A kto „złwieża” polskie stewar desy?

KOSZULE Z „ROMEO”. W „Karuzeli” (nr 17) notatka pt. „Bliższa koszula...”, oparta na liście czytelników: „Nabyłam dla męża kilko koszul wyprodukowa nych przez ZPO „Romeo” w Zbąszyni — pisze pani Elżbieta P. (nazwisko i adres znane redakcji) — Porządnym ma teriał, robota wspaniała, na solidna, cena też nie najniższa... krótko mówiąc: ucieka drugi etap tuż, tuż.”

Niestety, po pierwszym oroniu (recenz nym) brzęk rekawów skrojonych zbyt skąpo wypłynęły snod nitki i musiałam (znów recenzy) obrebić i przyszywać ta wałki tkaniny.

Jeseli nadal będziemy musieli pra cować za tych, którzy inkasują pieniądze, za partani e, to wybacze mi, Drody Redaktorzy, ale minorowo widzę moż liwość intensyfikowania własnej działal ności zawodowej, czego się od nas po dobno oczekuje”. Droga Pani! Może to miały być kamizelki a nie koszule? Węc po co zaraz te frustracje?

## PRAGA '88



Od 26 sierpnia do 4 września br. stolica Czechosłowacji stała się światowym centrum filatelistyki. W tych dniach odbywała się w Pradze Świa towa Wystawa Filatelistyczna „PRAGA '88”. Jest to już czwarta wystawa świa towa organizowana w mieście. Pierwsza odbyła się w 1962 r., następnie w la tach 1968 i 1978. Patronat, tak jak i nad poprzednimi sprawowała FIP (Mię dzynarodowa Federacja Filatelistyki), zrzeszająca 67 związków filatelistycz nych z pięciu kontynentów. W czasie trwania wystawy odbył się kolejny Kongres tej organizacji. Warto to od notować, że przewodniczącym FIP jest od wielu lat Ładislav Dvoracek — Czechosłowak, wybitny juror i działacz międzynarodowego ruchu filatelistycz nego.

Na wystawie zgromadzono najcieka wsze eksponaty zbieraczy z całego świa ta, także oficjalne prezentacje poszcze gólnych administracji pocztowych czy

muzeów. Wielu zbieraczy zaintereso wał cenny eksponat o unikalnej war tości historycznej, prezentujący przesył ki pocztu balonowej, funkcjonujące w obłężonym Paryżu w latach 1870—1871. Miasto, odcięte od świata, żeby utrzy mać kontakt z terenami wolnymi, zwró ciło się do ówczesnego „króla komu nikacji powietrznej” Nadara, który od 1863 r. prowadził na Montmartre Klub Balonowy i szkolił pilotów, aby zorga nizował przesyłanie korespondencji ba lonami. Pierwsze przesyłki balonowe ze stemplami „Par ballon monte” zna lazły się w rękach adresatów w Evro x, odległym od Paryża o całe 100 km. Prawie 67 balonów przetransportowa ło 2,5 mln listów.

Organizatorzy zadbałi o należytą op rawę propagandową wystawy. Od kil ku lat ukazują się znaczki, arkusiki, ca łostki propagujące SWF „PRAGA '88”. Każdego dnia wystawę stosowano inny stempel okolicznościowy. Np. 31 sier

pnia był Dniem Aerofilatelistyki. Ba lon są nieodłącznymi elementami wie lu światowych wystaw znaków poczt o wych. W maju br. wznosił się w powie trze balon w Pradze i odbył pierwszy lot pocztu balonowej. Przysyłki z tego lotu są już poszukiwanymi walerami filatelistycznymi. Następnym lot zorga nizowano 27 sierpnia br. Z miasta Ta bor w południowych Czechach wysta rował balon z przysyłkami pocztu ba lonowej propagującymi SWF „PRAGA '88”.

Cena biletu wstępu na wystawę dla dorosłych wynosiła 20 koron. Każdy bie let posiadat kupon upoważniający do zakupu trzech okolicznościowych ar kusików znaczków wydanych z okazji wystawy. Należy dodać, że koszty or ganizacji tej wielkiej imprezy (filate listycznej w całości pokrywa Federal ne Ministerstwo Poczty i Telekomuni kacji CSRS.

M. SŁAWOMIR